



30442

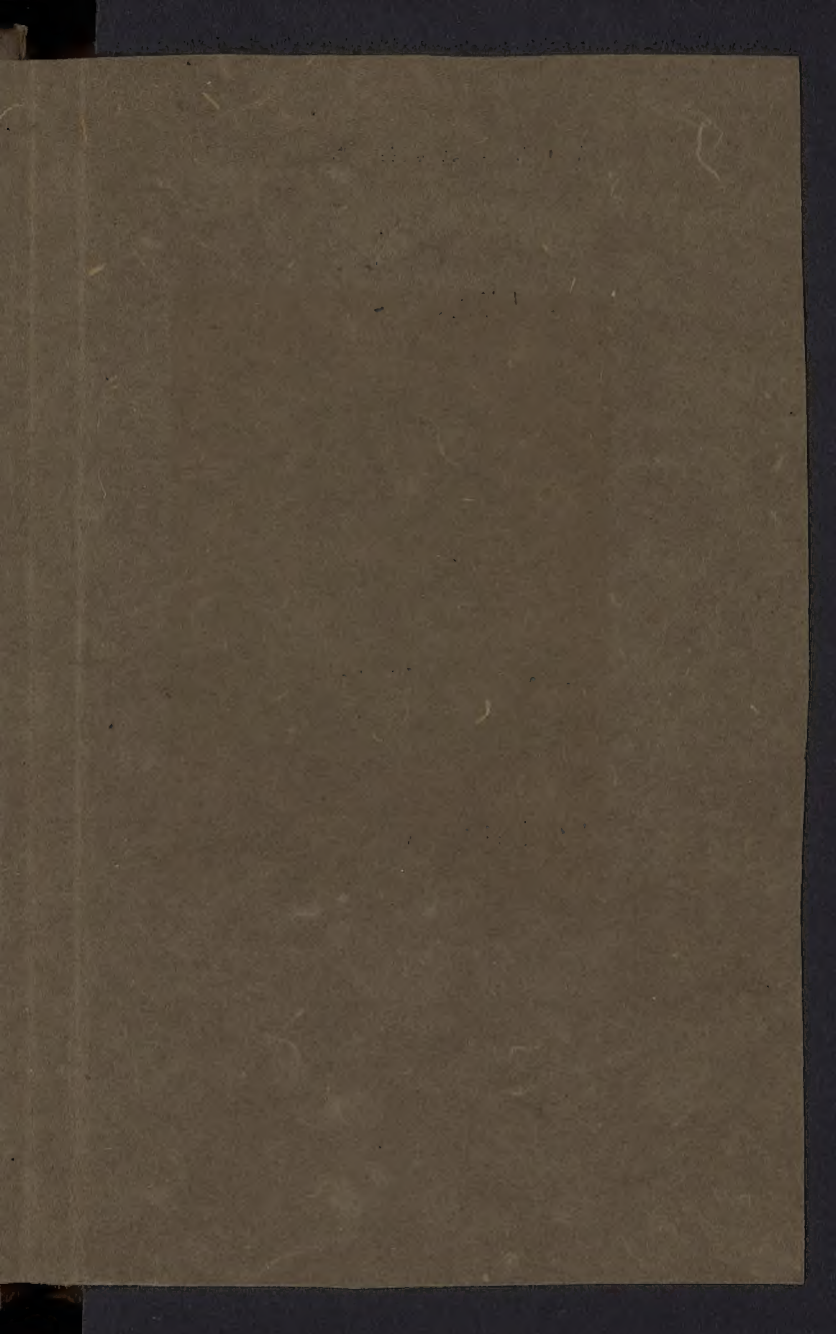
Mag. St. Dr.

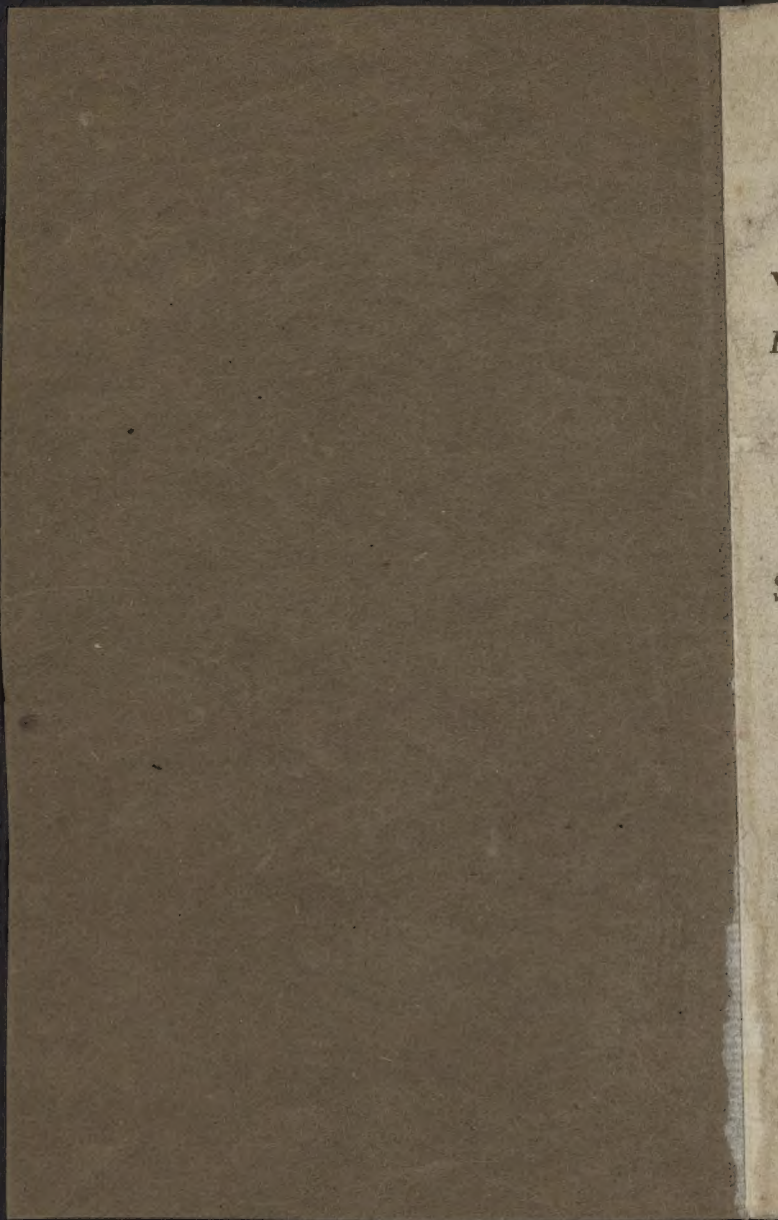
P

kat. komp.



30442







# Z B I O R

P O D R O Z Y

WAŻNYCH I CIEKAWYCH  
DLA NAUKI i ZABAWY MŁODTCH

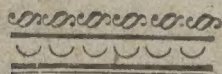
*Tłumaczony z Zbioru Podróżow*

PANA CAMPE I INNYCH

przez

98  
STANISŁAWA SZYMANSKIEGO KONSY-  
LIARZA NADWORNÉGO J.K.Mci.

TOMIK I.



w KRAKOWIE 1794.

---

w Drukarni JANA MAYA.

*Geogr 452  
no 1*



30. 442. I.

## PRZEDMOWA

Uiszczam się w danym słowie tym wszystkim, którzy mnie od lat kilku zachęcali do wydania w oyczystym języku iakiego dzieła dla młodych, któreby bezpiecznie i użytecznie do czytania im podane bydź mogło. Zrządłem i osnową pracy moiey naypierwey iest sławne, i powszechnie tak w Niemieckim iak w Francuzkim języku przyjęte dzieło Pana Campe — recueil de voyages &c: pótym inne dzieła w tymże gatunku.

Stosownie do kraju i okoliczności pozwoliłem sobie poczynić niektóre odmiany: i pewien iestem, iż rostopny czytelnik nie zgani mi tego postępu.

Zapowiadam wczesnie, iż dzieło to, na wiele rozwiedzie się Tomików;



które po części już przygotowane, ile  
tylko drukarnia wystarczy, wycho-  
dzić będą wciąż z pod prasy.

Czytelnikom moim, iako czytel-  
nikom, życzę z cudzych podróży  
wszelkich i w rozumie i w sercu ko-  
rzyści: a iako wędrownikom świata  
tego i życia, życzę w własney podróży  
wszelkich pomyślności.

---



# PODROZ PIERWSZA

*Ku Krajom Bieguna Północnego*

o r a z

Przypadki pamiętne JAKOBA HEEM-  
SKERKA i WILELMA BARENZA.

I.

## W S T Ę P.

**N**a sam przód, moi czytelnicy! (młodzi czy starzy, równie wszystkim pracę moję poświęcam, lubo szczególniej pierwszych przedsięwzięłem mieć na celu) prowadzę was do krainy bardzo zimney i odludney. Naypierwsza nasza podróż będzie do Spitzbergu i Nowey-Zemli. Co to są za kraje? i gdzie leżą? zapewne wiedzieć musicie. Wszelako poszukajcie ich na mappie, ażeby przez cały ciąg następującey powieści posada ich tkwiła wam w świeżey pamięci. Pierwsza map-pa kuli ziemnowodney, bardzo dobrze to ukaże.

A

Czy widzicie sam nad Norwegią ku biegunowi północnemu wyspę dosyć znaczną, z wielą innemi wysepkami drobnemi? Otoż to jest Spitzberg. Chociażby to nazwisko napisane nie było, tedy łatwo da się znaleźć; ponieważ ze wszystkich krain, nam wiadomych, ta jest naybardziej podsuniona pod biegun.

Nie było nigdy dostateczney wiadomości, czyli pośród morza lodowatego znaydują się jakie lądy? i prawdę rzekłszy, nie wiele co jeszcze mamy zapewnienia w tej mierze. Wszakże to, co wiemy, i kto, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, pierwszy wynalazł te kraje? da się widzieć w następującym opisie.

Teraz rzućcie okiem trochę niżej, ale ku prawej stronie, około brzegu północnego Azji; a da się widzieć jeszcze większa wyspa: ta jest Nowa-Zemla. Moskale zowią ją Nowaja - Ziemia,

to jest Nowa - ziemia ; ale gdy pierwsze nazwisko , przez połowę łacińskie , a przez połowę Moskiewskie jest naywięcej zażywane , przeto tego trzymać się będziemy .

Wyspa ta , oddzielona jest od Azyi przesmykiem , nazwanym przesmyk Waygatz . Proszę poszukać , musi to być napisane na mappie . A jeżeli nie masz napisu ? nie trzeba się dziwować , ponieważ bardzo nie dawno była jeszcze między krajopisarzami wątpliwość : czyli Nowa - Ziemia jest wyspą ? czy też częścią lądu , wybiegłego od Azyi ?

Zamknijcie teraz oczy , i doświadczajcie , czy możecie wystawić sobie w myśli położenie tych dwóch krajow , tak żywo , jak gdybyście na nie patrzali . Tak trzeba czynić z każdym krajem , z każdą rzeką , z każdym miejscem , z każdym razem , kiedy go się szuka na mappie .

A ji



Tym sposobem skład mapp wraża się w pamięć ; a w potrzebie, łatwo się obeysć bez mappy, którą procz tego nie zawsze podoredziu mieć można. Na reszcie trzymam o moich młodych czytelnikach, iż czytając następujące opisy podróży, nawykną szukać zaraz na mappie, tych wszystkich krain i miejsc, o których wzmianka przypadnie, aż poki nie wyrują w umysłach swoich jasnego i doskonałego onych wyobrażenia. Inaczej, nie odnieśliby tych korzyści, jakie z czytania dzieła niniejszego dla nich przeznaczam.

Chociażby wam nikt nie powiedział, że w tych krajach, o których rzecz jest, panują zimna bardzo tęgie ; rozumiem, iż się sami tego domyślicie, patrząc, jak blisko podsunione są pod biegun. Ale kiedy wam powiem, iż przez znaczną część roku słońce nie przyświeca w tych krajach, a zatyln noc ciągła (a) trwa w

---

(a) Ta ciągła noc w Spitzbergu, trwa od dnia 18,

nich ; tym więcej ieszcze o nateżeniu tamże zimna przekonani zostaniecie . Ci, ktorzy zabiegają w te kraje dla połowu wielorybow ; o! muszą się w dobre kożuchy opatrzyć! inaczey, przeziębiliby i pomarзли od zimna .

Ale czas iest, ażebyście poznali osoby, ktorych podroż i przypadki czytać będziecie ; oraz cel, który ich w tak okropną zawiodł krainę .

Wiecie, gdzie leżą Indye Wschodnie, i przez jakie to morza my Europeyccy musimy się do nich przebierać . Spoyrzycieź do mappy, i zważcie, jak się to krąży daleko, gdy naprzykład odbiwszy od brzegow Hollandyi, płynie się na sam przod przez cieśninę kaletańską (pas de Calais) i kanał la manche do oceanu A-

---

Października aż do dnia 4. Lutego . Na wzajem po 1 czas lata iest dzien ustawiczny od dnia 4. Maia aż do dnia 2. Sierpnia ; przez cały ten czas słońce nie zachodząc z horyzontu świeci . W Nowey Zemli krocey trochę trwa latem ciąg dnia nieustannego, a zimą ciąg nocy .

tlantyckiego ; potym jedzie się około brzegów Francyi, Hiszpanii i Portugalii ku wyspom kanarviskim ; ztamtąd ciągnie się wciąż około brzegów Afryki, aż do kapu dobrej nadziei ; znowu trzeba okrążyć wszystkie lądy, leżące z tamtey strony Afryki ; czy to kto chce płynąć do Jawy, czy też wyżej ieszcze żegluie do Chin po herbatę, a do Japonii po złoto . Owoż tedy zamiast tak długiey i uprzykrzoney drogi, radziby Europeyczcy wynaleść inną krotszą, ale także przez wodę . Bo droga lądowa, do krajow tak odległych, iż by się na nic nie przydała, łatwo domyślić się można dla czego . Z tego powodu, wielu żeglarzow, zwłaszcza Hollendrow, wzięwszy w ręce mapę ziemi i pilno ją przeglądaiąc, tak sobie pomysłili : „ Gdyby też kto puścił się w „ gorę ciągiem koło brzegow Norwegii, „ potym skrećiwszy się w prawą, płynął „ około Laponii, Rosyi Europeyskiey i „ Azyatyckiey, aż do ostatniego cypla „ Azyi, a ztamtąd dopiero spuścił się w



„ doł między Azyą i Ameryką : co ? nie  
 „ byłaz by to daleko krotsza droga do Chin  
 „ i do Indyi ? Bez wątpienia — to do-  
 „ świadcmy ; rzekł jeden do drugiego. „  
 Zatym wyporządzili okręty i puścili się w  
 podróż takową .

Nieochybnie snuje się wam na my-  
 śli, moi młodzi czytelnicy, iż bardzo łatwy  
 jest wynalazek drogi takowej, którą po-  
 spolicie zowią : przeprawą pułnocno-  
 wschodnią ; ale ja życzę nie kwapić się z  
 skorym zdaniem ; ponieważ jakożkolwiek  
 rzecz ta z razu zdawała by się bydz snad-  
 ną, z tym wszystkim dostrzeżono w niej  
 bardzo wiele trudności, i wczesnie wam  
 zapowiadam, iż do tego ieszcze momentu  
 nie posłużyło szczęście nikomu, tę prze-  
 prawę wynaleść. Dziwi to was podo-  
 kno ? i niepoymuiecie, co by takiego  
 przeszkadzało uskutecznieniu tego za-  
 miaru ? Oto nic więcey, tylko jedna, ale  
 dotąd nie przełamana zawada. Ktokol-  
 wiek zapędził się z pułnocy na wschod da-

ley nieco za brzegi Moskiewskie, ten natychmiast uyrzał swe okręty osaczone i zaparte tak dalece, że dziękował Bogu, kiedy mu się udało wydobyć, i nazad tam, zkad przybył, powrócić. Jaśniej rzecz tę tłumaczę. Owo morze górne, dla niezmiernie tego zimna, zawalone jest lodami; które, już to w bryłach ogromnych, właśnie niby góry pływają; już też zcinają się i marzną w wielkie łachy, tak jak u nas po stawach, jeziorach i rzekach w tegie mrozy. Z tego powodu, morze to, nazwane jest morzem lodowatym. A co? dochodzicież teraz, dla czego nie tak łatwo jest przez to morze przepłynąć?

Już dawniej Hollendrzy kusili się po dwa razy wynaleść tę północno-wschodnią przeprawę; ale nadaremnie. Na reszcie, jako ludzie serca dzielnego, których nie łatwo i nie lada zraża przeciwność, umyślili trzeci raz jeszcze pokusić się. W tym celu wyporzadzono dwa okręty.

Jakob Heemskerck wyznaczony został kommisarzem czyli kommandantem tej wyprawy — kontrmistrzami, czyli jego podkommandnemi, mianowano: Wilhelma Barenza do jednego okrętu; do drugiego, Jana Korneilla Rypa. Obaczmy w następującym rozdziale puszczenie się ich w tę podróż.

## 2.

*Wujazd z Amsterdamu. Odkrycie  
wyspy Niedźwiedziow i wyspy  
Spitzberg.*

**R**oku 1596. pierwszych dni Maja, żeglarze nasi odbili od brzegu w Amsterdamie. Dnia ośmnastego tegoż Miesiąca, minęli Vlieland, iednę z wysp, składających obwod Zuyderzee i wypłynęli na morze pułnocne. Czas był pogodny, wiatr wiał pomyślny: to też bystrym hysem pędzili, tak dalece, iż w przeciągu czterech dni stanęli na widoku wysp Szetlandskich,



które można dostrzedz na mappie europy, leżące w oceanie Niemieckim, między Szkocyą i Norwegią. Co się wam zdaje, moi czytelnicy! w czterech dniach upędzić więcej niż 180. mil, nie jestże to bardzo śpieszna żegluga?

Bieg ich zmierzał zawsze wprost ku biegunowi północnemu. Po kilku dniach wyrzeli się naprzeciw Islandyi; tey to wyspy oceanu północnego, przez którą, jak wiadomo, krajopisarze prowadzą w myśli pas biegunu północnego, czyli cyrkuł polarny. Dnia 1. Czerwca, w kilkanaście dni po przebyciu Vlieland, już byli przebiegli za 70ty stopień szerokości północnej; i w tedy po pierwszy raz doświadczyli dnia takiego, w którym im słońce całę nie zaszło. Bo w tamtey stronie pod tę porę słońce świeci bez zachodu, zostając ciągle nad horyzontem, i zdając się tylko niby kręcić około niego przez 24. godzin.

Wystawić sobie proszę żywo na myśli,

jak to człowiekowi, zażyłemu w krajach, gdzie na przemianę bez przestanku dzień i noc następują po sobie, jak to, mówię, wydawać się musi dziko, kiedy znagła uyrzy się w takim miejscu, gdzie wieczorem nie zapada słońce pod horyzont, a przez cały czas nocy, tak jasno, jak w dzień przyświeca? Z tej osobliwości może snuć się w myśli naturalny wniosek: iż w takim kraju, panować muszą niezmierne upały, zwłaszcza pod tę porę, w ktorej słońce nie zachodzi; kiedy u nas samemi właśnie nocami ochładza się powietrze rozpalone dziennym skwarem pod czas lata. Ale nie jest tak. W krajach podsuniętych pod biegun, ciągle przyświecanie słońca grzeje tak mało, nawet latem, iż nasi wędrownicy zkościli prawie od zimna. To osobliwość! a dla czego? oto: iż w owych stronach słońce nie wznosi się nad horyzont wyżej, jak u nas pod czas zimy: zatym promienie jego nie padają na ziemię, tylko ukćśnie. Wiadomo zaś z doświadczenia, iż w izbie daie

się czuć większe ciepło, kiedy promienie słoneczne biją do niej prosto przez okna, aniżeli kiedy z boku tylko wpadają. Owoż taż sama jest przyczyna, dla której w owych krajach, chociaż słońce świeci nieustannie, przecież nie jest ciepły, niżli u nas pod czas zimy w dzień pogodny.

Ani teraz was zadziwi, kiedy powiem, że nasi żeglarze nie bawnie uyrzeli się w pośrzód lodow, gęsto pływających po tym morzu. Zdarzyło się to dnia 5. lipca, gdy flisi bawiący na pokładzie okrętowym z wielkim okrzykiem wezwali swych towarzyszw, aby przyszli oglądać niezmiernie stada łabęci, ku nim płynących. Zbiegli się wszyscy radując wczesnie, co za przysmaki mieć będą z tych ptaków, aby tylko udało się nabić ich jak najwięcej. Ale gdy pilniey wpatrując się, postrzegali błąd, to jest iż ogromne kry lodow, obsypane śniegami, wzięli za łabędzie. Nie bawnie wpłynęli między nie, i nie było czasu ani ochoty myśleć o przysmakach.



Kilką dniami przedtym, osobiwe na powietrzu zjawienie uderzyło im w oczy. Uyrzeli razem trzy słońca na niebie, a co ieszcze czyniło widok ten dziwnieyszym, to były trzy tęczę, które przecinały się w ukos blisko tych słońców. Co ma znaczyć to zjawienie? czyli w rzeczy samey w owych strenach znajduje się więcej słońców, niż jedno? albo też, czy co nadprzyrodzonego zamyka się w tym zjawieniu? muszę wytłumaczyć dla niewiadomych.

I u nas trafia się że dwa, trzy, a czasem i więcej słońca ukazują się we dnie na niebie, oraz tyleż księżyców w nocy, Zowie się to Parelle, i ztąd pochodzi. Pary ziemne, czy wapory, czasem tak grube zbierają się na atmosferze (atmosfera, znaczy cały zbior powietrza otaczającego ziemię) iż promienie słoneczne, nie mogąc się przecisnąć przez nie, odbijają się i odskakują od nich, tak jak we zwierciadłach, których skutek ten-

że sam wtedy sprawią te pary. A więc gdy promienie słoneczne odbijają się, i odbite wpadną nam w oczy, wystawią nam obraz słońca, tak dalece, iż ile jest odbicia, tyle też być może obrazów słońca. Toż się ma rozumieć o xieżycu, gdy w podobnym stanie znajdą się jego promienie. Takowe zjawienie u nas przypada pospolicie zimą, właśnie wtedy, kiedy wiele nader parów subtelných, zmrożone na powietrzu, zcinają się w drobne listki lodu.

Żeglarze nasi płynęli jeszcze dni kilka, zawsze między lodami; ktore, im daley, tym bardziey w ogromnieysze bry'y zbijały się. Dnia 9go lipca uyrzeli ziemię. Udali się do mapp, chcąc dociec, co to za kraj? ale w mappach nie znaleźli żadnego lądu w tym mieyscu, w którym zostawali. Wnieśli więc, iż to musi być jakiś kraj nieznamomy. Napięto żagle ku cewemu lądowi, i wkrótce doyrzano jasnie, że to była wyspa, długa prawie ná ośm

mil. Zarzuciwszy kotwice, niektorzy  
wsiedli w szalupę i przylądowali do brze-  
gu. Naypierwsza rzecz, która im wpa-  
dła w oczy, było wielkie mnóstwo jay  
ptaków wodnych, zwanych łyski, które  
pilnie pozbierali na zapas kuchenny.  
Dla przejrzenia na dal rozległości całe-  
go kraju, wleźli na górę drapiąc się na  
czterakach, bo tak była przykra i spa-  
dzista, iż jakby z ustawionych na urząd  
sanych ostrych szpic zdawała się bydź  
złożona. Z ciężkością wprowadzie, wsze-  
lako szczęśliwie dotarli do samego  
wierzchołka góry. W tedy dopiero  
przyszło im na myśl, jak tu będzie zeyść  
na doł? nie pomyslili o tym, idąc na górę;  
i była też to wielka nierostropność.  
Jaki taki spoyrzawszy na doł, zadrżał ze  
strachu, i ciężko żałował, uważywszy, na  
jakie niebezpieczeństwo bez potrzeby na-  
raził się. Wielkość niebezpieczeństwa  
wydawała się w tym naywięcey, iż dokoła  
tey góry przepadzistey, styrczały sztuki

skął ostrokolczyste ; na ktore gdyby nie-  
szczęściem ! osunąwszy się wpadł czło-  
wiek, przebiłby się i poszarpał w kawałki.  
Ale co począć ! nie pora była namyślać  
się i trwożyć. Zatem nie tracąc czasu i  
serca, opuszczali się z wolna, już na kola-  
nach, już na brzuchu, aż szczęśliwie do-  
stali się do dołu. Barenz, który pozostaw-  
szy w szalupie, patrzył na nich, już  
ich miał za zgubionych.

Nazajutrz ukazała im się straszli-  
wa potwora, o czterech łapach, długa stop  
12, obrosła białemi i kędzierzawemi ku-  
dłami ; z paszczęki nasadzoney ostremi  
kłami, dawało się słyszeć przeraźliwe  
mruczenie. Domyśla się podobno mój  
czytelnik, co to była za potwora ? Oto  
niedźwiedź biały, zwierz rodowity kra-  
jow pod pułnocą leżących. Różni on się  
od niedźwiedzia pospolitego : nayprzod  
swą ogromnością, ponieważ, jak się rze-  
kło, ma długości stop 12 i więcej : potym  
barwą



barwą swoją białą; a nakoniec zażartością, gdyż takowy niedźwiedź, czy to na ludzi, czy na zwierzęta, miota się bez braku, aby je pozrzeć. Zwyczajnym jego żyrem są: ryby, cieleta morskie, i wieloryby zdechłe. Z tej przyczyny przebywa po morskim nadbrzeżu, i między zatorami morza lodowatego; umie pływać i nurkować, tak jak kaczki.

Jakożkolwiek straszny na weyrzenie wydawał się zwierz ten, czeladź okrętowa niewzdrygnęła się nań uderzyć. Postanowili najprzód nie strzelać zdala do niego, ale ostępem nań napaść, zarzucić mu stryczek na kark, zdusić, albo żywcem dostać. Wpadli więc na szalupę co żywo, i płynęli ku niemu. Wszakże kiedy mu się z bliska przypatrzyli, znaleźli go tak drapieżnym, iż nie odważyli się chwycić go na stryczek. Poskoczyli więc do niego z siekierami i innemi narzędziami ostreми. Żwawa bitwa, trwa-

ła dosyć długo: bronił się potężnie przez dwie godziny; aż nakoniec szczęśliwym ciosem siekiery ugodzony w sam łeb, poległ niedźwiedzisko jak długi. Zawlekli go do okrętu, i odarli ze skory. Sprawili sobie bankiet z jego mięsa; zjedli; ale nie ze wszystkim przypadło im do smaku, chociaż niektórzy rozumieją, iż niedźwiedzie mięso jest tak dobre jak wołowe. „A czemuż niema jeść, by też i „nie smacznego mięsa ten, kto za kres „biegunowy zapłynie? kto do koła osaczony jest lodami? jak może niedźwiedzie mięso nie smakować tam, gdzie „nie rośnie, ani zboże, ani warzywo, ani „żadna roślina? gdzie nie wiedzą, co „to jatka, abo rzeźnik? a tym bardziej, „co cieleca lub barania pieczenia? „

Ta szczęśliwa bitwa z niedźwiedziem, dała pochop do nazwania tej wyspy, wyspą Niedźwiedzią. Znaleść ją można na mappie za Norwegią ku Spitzbergowi:

może też będzie po łacinie napis: insula  
ursorum.

Następującego dnia, podnieśli kotwice, i płynęli daley ku pułnocy. Pod wieczor, to jest o tym czasie, kiedy u nas ma się dzień do schyłku, ale nie w owych stronach, gdzie wtedy słońce wciąż świeciło, wpadło im w oczy nowe dziwo, pływające po morzu, które rozumieli byćż wyspą. Gdy bliżej nadpłynęli, postrzeegli, że to był zdechły wieloryb, na którym siedziało wielkie mnostwo ptaków łysek, objadających jego tłustość, a może też i wszy. Szkoda! że nie mamy sposobności wystawić prawdziwy wizerunek wieloryba! doświadczyłby czytelnik, co za widok sprawuje oku ludzkiemu tak ogromne stworzenie. Wszelako z szczegółów można sobie odrysować jego postać.

Prawdziwym gniazdem i legowiskiem wieloryba, jest morze lodowate pod obie-

Bji

ma świata biegunami: wszakże znajdują się one też często i w morzach, odsuniętych od biegunów. Jest to zwierzę, ze wszystkich nam znanych najogromniejszy. Dawniej łowiono wieloryby, które na 100 a nawet na 200 stop były długie, a do 70 lub 80 stop szerokie. Ale teraz, kiedy co rok biją ich po kilka tysięcy, nie podobna im dorosnąć do postaci tak ogromnej. Za naszych więc czasów wieloryby nie trzymają więcej nad 60 lub 70 stop długości. Łeb, zda się być największą częścią ich ciała, i zajmuje prawie połowę całej sztuki. Gardziel mają szczupłą, bo tylko cztery cale szeroki, i dla tego żyrem ich są śledzie i owad morski. Skórę mają czarną, grubą na cal, przeplataną tu i owdzie kosmą czy włosami, do których czepiają się często rośliny morskie, korale, i ślimaki. Skóra ta, podobna jest do kory drzewa porozpadanej, w której pleni się wielkie mnóstwo robactwa, czyli wszy,



długich prawie na cal, a ktore, kiedy wieloryb pływa po wierzchu morskich bałwanow, wydziobują mu ptaki łyski.

Oczy ma bardzo małe w porównaniu do wielkości całego ciała; są one osadzone w końcu łba, na doł ku brzuchowi, nie większe od oczu wołowych. Na wierzchu głowy ma dwie dziury, ktoremi wchłpiętą wodę wyrzuca nazad, na wzor dwóch wyskokow wody, strzykających bardzo wysoko. Zwierzchnia szczeka zamyka to, co zwiemy Fiszbinem, a to jest rzecz tak wielka i tak ciężka, iż wszystka czeladź okrętowa musi ją wciągać na okręt. Dolna szczeka składa się z dwóch wielkich kości, najmniey 10 stop długich, jedną stopę szerokich, a puł stopy grubych. W Hamburgu, w Altonie, i po innych miejscach, z ktorych wyprawiają co rok okręty na połow wielorybow, używają tych kości na podwoje do wrot wjezdnych, albo też porzniete wko-

puią w ziemię za słupki w tych mieyscach, gdzie nie wolno jeździć konno, ani pojazdem. Cała prawie sztuka wieloryb nic innego nie jest, tylko bryła tłuszczu; i to też iest, na co godzi nieprzyjaciół jego człowiek: bo z tej tłustości robią olej wielorybi, czyli tran. Na reszcie wieloryb ma krew ciepłą, rodzi płoć żywy, i karmi go mlekiem swych piersi.

Sposób łowienia czyli bicia wielorybow, iest następujący. Jeżeli wieloryb nie pływa po wierzchu wod morskich; tedy mieysce w którym nurkuje, okazują dwa wyskoki, ktoremi wodę wyparska, jako się wyżej rzekło. Gdy rybacy wysłedzą, że wieloryb nie daleko iest od nich; tedy wsiadwszy w szalupy i czołny, płyną ku niemu. Na przedzie tych statkow, stoi dziiryt, to iest człowiek trzymający bełt czy dziiryt. To narzędzie, iest gatunek dzidy żelazney z dwiema klamrami na rękojeści drewnianej,

przywiązane do liny. Podjechawszy tuż do wieloryba (ale trzeba z wielką ostrożnością to czynić, bo jednym uderzeniem ogona, zgruchotałby cały statek na drugi) dziurtnik wbija mu dziurę w ciało całą siłą, jaką tylko mieć może. Jak prędko wieloryb odbierze cios takowy, natychmiast rzuca się do ucieczki; pospolicie nurza się na dno morskie, z taką chyżością, iż flisi ledwo zdążyć mogą ośnowywać linę od dziury. Szalupa, na ktorej znajdują się rybacy, miotana bywa tu i owdzie tak bystro, jakby ją największa kołatała nawałność. Tym czasem posoka wieloryba farbuje wodę morską. Tłucze się wieloryb przez długi czas po głębini, aż na reszcie zmordowany szuka odetchnienia, i na ten koniec na wierzch wody wypływa. Natychmiast kołata go spisami długimi i ostremi, zostawiając je utkwione tak dalece iż się wydaie naksztalt sadu zatknionego gestotkami. Gdy krew uydzie wieloryba,

zadycha, i ni to wyspa pływa po wodzie. Dopiero łapią go na wielkie liny, wszystkie szalupy wprzegaią się do nich, i tak ciągną go aż do okrętu. Otoż to taki jest połow wielorybow,

Wysiadłszy rybacy na zabitego wieloryba, wybieraią tłuszcz z niego, wyrębiają szczoki zwierchnie, czyli to, co zowiemy fiszbinem. Obrawszy tak z jednej strony, przewracaią na drugi bok; nie tykaią mięsa ani kości, okrom dwóch kości szczęki spodniej, które zaciągaią także na okręt, a z których nasączy się ieszcze z jedna beczka tłustości. Mięso, porzucaią na żyr ptastwa drapieżnego i białych niedźwiedzi,

Rozumiem, iż to krotkie wyboczenie nie nudziło czytelnika. Czas zwrocić się do naszych żeglarzy.

Dnia 17 i 18 lipca, przymuszeni byli



przebijać się przez ogromne kry lodow, płynąc zawsze ku północy, i napadli na małą wyspę. Jest to jedna z tych, które leżą za wyspą niedźwiedzi, po niżey Spitzbergu. Nic osobliwego nie znaleźli na tej wyspie, to też puścili się w dalszą podróż.

Następującego dnia ukazał im się ląd, a to jest tenże sam, który potym nazwano Spitzberg, od wielości gór wysokich a śpiczastych. Mniemali oni, że ta wyspa jest częścią Grenlandyi, ale się pomylili.

Dnia 21 lipca, zarzucili kotwice przed tym lądem. Część flisow puściła się czołnem do brzegu dla nabrania lestu. Lest znaczy ciężar czyli ładunek okrętu, który mu nadaie wagę, stosowną do równoważności z morzem. Żeglarze nasi w tym mieyscu dopiero starali się o lest; bo upłynawszy z kilkaset mil, i zpotrze-

bowawszy znaczna część ładunku okrętu w drzewie i zapasach do jedzenia, musieli natomiast dobierać lest z innych rzeczy, aby w stosowney wadze okręt utrzymać. Kiedy na lest uzbierawszy dosyć kamieni i brył skalistych, tylko co mieli je ładować na szalupy; wielki biały niedźwiedź puścił się w pław ku nim, okazując, jakoby ich wyzywał do bitwy z sobą. Żeglarze niezrażeni bynajmniey, wyszli na przeciw niemu odważnie, i rozpoczęli żwawą walkę. Strzelba nie była ieszcze wtedy w używaniu tak, iak iest teraz; zatym walczący z niedźwiedziem, nie mieli z sobą, tylko spisy, siekiery, i tym podobne narzędzia. Ale niedźwiedź tak twardą i grubą miał skórę, iż większa część spis, albo popękała, albo też powichnęła się. Okrom tego, po kilka razy kusił się niedźwiedź wleść do nich na szalupę, chwytając ją łapami, i tak mocno w przod iey walił, że gdyby aby jeden cios podobny był ugodził we śrządek, te-

dy by ją nieochybnie do góry dnem przewrócił. Na reszcie opadł z sił; zabili go, i przywiozszy do okrętu obdarli ze skóry, która miała długości stop 13.

### 3.

*Opisanie Spitzbergu. Podróż z niego do Nowey - Zemli.*

**S**pitzenberg, jest to kraj jeden z najo odludniejszych i najzimniejszych w świecie. Jak go tylko z daleka można dosięć okiem na morzu, nic na nim nie widać, tylko góry śpiczaste, częścią z lodow i śniegow, częścią z piasku i skał utworzone. Okrom cokolwiek zielska i mchu gdzie niegdzie porastających, nie widać na tej wyspie żadnej rośliny, ani drzewa, ani krzaku. W lipcu i sierpniu ledwo co dostrzedź można jakiś pozor lata; wszakże i ten krotki przeciąg łagodniejszej pory roku, przeplatany bywa zimowemi

zmianami. Niebo zawsze prawie jest pochmurne ; burze, rzadko bardzo doświadczane. Pod czas zimy, owa długa noc, która, jako się wyżej rzekło, trwa blisko do czterech miesięcy, staie się nie iakim sposobem nie tak przykrą, dla częstych zorz pułnocnych, bardzo jasno świecących. Między niewielą roślinami, tam się krzewiącemi, szczegulniey znayduie się warzęcha ziele i szczaw. Jest to osobliwszy układ opatrności dobroczynney, iż zasiała rośliny bardzo skuteczne na skorbut, w tym kraju, w którym dla zimna nateżonego naysrożey ta choroba trapi żeglarzow.

Wyspa ta, okrom wiele ptastwa wodnego, żywi mnostwo wielkie białych niedźwiedzi, ranifetow, i lisow z futrem białym albo niebieskim, nader kosztownym. Opisaliśmy już białe niedźwiedzie, poznaymy teraz ranifety.

Ranifet, jest to zwierz jeden z nay-



użyteczniejszych na ziemi : szkoda ! że się chować nie może, tylko w krajach podpułnocnych. Lapończycy mają wszystko z niego : mleko i mięso ranifetow służy im za pokarm, a skórę obracają, bądź na odzienie, bądź na pokrycie szałasow swoich od wiatru, zimna i słoty. W gospodarstwie mają z ranifeta bydle robocze ; a założony do sanek, wiezie iak koń naydzielniejszy. Z rogów i kości ranifeta, wyrabiają Lapończycy różne naczynia ; żyły obracają na dratwę i szpagat do szycia ; a pęcherz na kieszenie i burdziuki. Ale co naydziwniejsza ! iż ten zwierz, tak użyteczny, jest oraz ze wszystkich naywstrzemięźliwszy w jedzeniu, i naysnadniejszy do paszenia. Nie trzeba mu inney paszy, nad mech i liście suche ; ieszcze i w tym nie zniewala gospodarza, aby mu czynił zapas na zimę : sam sobie obojga tego wyszuka i z pod naytęższych śniegow wydobędzie. Kiedy głód wezwie go do żyru, odkopnie śnieg

nogami ; a podźwyszy trochę mchu czy  
 lisci, jużci syt. I nie wypadaż tu u-  
 wielbiać z zadumieniem mądrość i opa-  
 trzność Stworcy, iż tak szczupłe granice  
 zakreslił potrzebom i dogodnom zwierza  
 tego, którego chciał osadzić w stepach lo-  
 dowatey i najniepłodniejszey pułnocy?  
 Naostatek ranifet, podobny jest do na-  
 szego jelenia, z tą różnicą, iż jest trochę  
 mniejszy, iż ma nogi krotsze, a rogi nieco  
 odmienniey, bo płaskawo ukształcone.  
 Samica ranifeta, ma także rogi, ktorych  
 łanie nasze nie mają.

Co się tycze ludzi, tych zgoła nie  
 masz na Spitzbergu. Ale za to nadbrze-  
 ża tey wyspy, morze i lody, zaplenione są  
 zwierzętami nieznanymi u nas. Oto  
 na przykład, okromi wielorybow, znajduje  
 się tam wielkie mnostwo cieląt czyli psow  
 morskich, krow morskich, espadonow, re-  
 kinow i innych. Poznajmy każde z oso-  
 bna.

Ciele morskie, które też nazywają psem morskim, pełni się tak jak i wieloryb, szczególnie w krajach północnych: latem przebywa na lądzie, a zimą w wodzie i po lodach. Łeb ma podobny do psa z oberzniętymi uszami. Pysk i nos porasta mu wąsami, takimi w podobieństwie, jakie są u naszych kotów. Szerć krótka i połyskująca, okrywa resztę ciała. Na przedzie ma dwie łapy bardzo krótkie, któremi chodzi albo raczej czołga się: bo dwie zadnie łapy podobniejsze są do dwóch ogonków czyli płytek rybich. Są one zawrócone ku ogonowi, i służą mu do pływania jak płytki. Długość jego wynosi od czterech stop do ośmiu. Obfita tłustość zwierza tego, wydaie także olej wielorybi czyli tran. I dla tego kiedy chybi połow wielorybow, tedy rybacy biją wielkie stada psów morskich; ażeby ich tłuszczem nadgrodzić sobie stratę na tamtych. Bywa też, iż wychodzi wiele statków z umysłu na łowisko psów morskich. W dniu

pogodnym, kiedy słońce przyświeca, zbierają się psy morskie w wielkie stada, i rozwaliwszy się po lodach, parskają głośno. Pod ten czas flisi napadają na nich z pałkami; a ponieważ nie mogą prędko uciekać, czołgając się na dwóch przednich łapach, zatym łącno jest ich nabić bardzo wiele. Trzeba się starać trafić je w nos, jako w miejsce i u naszych psów najsłabsze. Takowy cios głuszy je, nie zabija; bo zwierz ten jest bardzo żywuszczy. Były przykłady, że po wybraniu prawie wszystkiego tłuszczu ze psa morskiego, zwierz ten, czyli raczej jego cha-by, kasał jeszcze dosyć zjadliwie. Pastwą jego jest Tang, czyli zielsko morskie, i ryby. Na reszcie zwierz ten, dla biednych mieszkańców krain podpułnocnych, jakimi są na przykład Grenlandczyczy, jest rzeczą wielkiej wagi; bo służy im za to, co ranifet Lapończykom. Jedzą mięso jego, oświecają domy lampami z jego tłuszczu, robią odzież, poszycia chat i

czoł-

czołny z jego skory. I u nas także ze skory psow morskich wyrabiaią worki na tabakę dla wieśniaków, i pobijają nią kufry.

Krowa morska, podobna jest do cielęcia czyli psa morskiego, wyiawszy iż jest daleko większa i grubsza, równając się prawie wielkością z wołem. Ma głowę ogromniejszą; a z obu stron paszczeki, styrczą iey dwa kły, długie na łokieć i więcej: kły te, dla przecudney ich białości, szacowniejsze są od zębów słoniowych. Krowy morskie stadami wielkimi rozwalają się po lodach i w wodzie; i tak, jak psy morskie, głośno parskają. Kiedy ich napadną rybacy, bronią się bardzo żwawo; wiernie jedno drugie ratuje; z wielkim rykiem, na kształt byków, rzucają się na szalupę, chcąc ją kłami uchwycić, i do gory dnem wywrocić. Skoro nadto liczne jest stado, iż rybacy ustępować muszą przed nim; na ten czas



gonią statki z taką zapalczywością, iż jedno drugie ubiega, i czasem biją się między sobą o wyścigi. Dla samych tylko zębów zabijają krowy morskie rybacy; bo tłustosci nie mają, a mięso nie zda się do jedzenia.

Espadon czyli ostropysk, jest także znaczna ryba morza lodowatego. Kiedy do zupełnego wzrostu dojdzie, wtedy trzyma od 18 do 20 stop długości, i waży około dwóch cetnarów. Kość bardzo długa i szeroka, styrczy mu u szczęki górnicy. Płaskawą ma postać na wzór głowni od pałasza, z tym dodatkiem, iż jest zębata, nakształt piły; i ztąd też tę rybę nazywają piłą morską. Espadon jest zabitym nieprzyacielem wieloryba, ściga go i rżnie piłą swoją obosieczną, aż poki nie zamorduje. Na ten czas, mówią, iż pożera język wieloryba, a resztę rzuca. Rybacy postrzegłszy utarczkę wieloryba z espadonem, nie wdają się do niej.

przypatrują się jey tylko spokojnie ; bo są pewni, że zwycięstwo przyniesie im korzyść bez pracy. Czasem też espadon, nie daie człowiekowi brać zabitego swego nieprzyjaciela, i ten gmach tak ogromny, ciągnie do pewney odległości ; chociaż szalupy pełne flisow, usiłują zawracać wieloryba w stronę przeciwną.

Co się tycze rekina, ktory także i po innych morzach znayduie się, jużem dał jego opis w dziele: Odkrycie Ameryki ; tam odsyłam ; a wracam się do naszych wędrownikow. Płynęli oni przez kilka dni wzdłuż brzegow Szpitzbergu, zawi-  
 jając coraz do lądu, i nabierając ziemię w szalupy ; wszakże nie napadszy nic takiego, coby warte było zastanowienia, przed-  
 sięwzięli pędzić daley, aby tylko, ile możliwości, dopiąć ważnego zamiaru swey wy-  
 prawy.

Tu wypadła im zagadka : gdzie bieg

Cji

swoy nakierować? i w tey mierze znalazły się rozdwoicne zdania obu szyprow. Kornel utrzymywał, iż trzeba pędzić daley ku północy, mając nadzieję, że wpłynie na morze bez lodow. Barenz myślił przeciwnie: to jest iż dosyć już podjachali pod północ, zatym że należało zacząć zwolna zakręcać się ku południowi. Długi trwał spor między niemi. Nakoniec gdy niemogli na jedno zgodzić się, przystali na to, iż każdy przy swym zdaniu zostanie, i tey drogi, jaką osądzi bydz najlepszą, trzymać się będzie. To ułożywszy, rozstrychnęły się oba okręty. Korneil popłynął daley na północ; a Barenz zkręcił się ku południowi; wszakże obydwu mieli potym nawrócić ku wschodowi. Zostawmy pierwszego na moment, a idźmy śladem za drugim: przy końcu napomknie się o losie pierwszego.

**Rozjazd dwoch okrętow zaszedł dnia**

1 lipca, tego samego też dnia dał się widzieć kray, który potym uznano byź Nową-Zemlą.

## 4.

*Bawienie na brzegach Nowey-Zemli.*

*Okręt podpada nieszczęściu.*

**T**en był naypierwszy zamysł Barenza, ażeby objechać cypel pułnocny zjawionego latu, i obrocić się potym na wschod, gdyby szczęście posłużyło. W tym celu płynął wciąż mimo brzegu. Wszakże, lubo to było prawie w samym śródku lata, wszelako z ciężkością przychodziło daley podjeżdżać, dla niezmiernych brył lodow, wstrzymujących okręt w biegu. Szczegulniey to przypadło pod wysepką, leżącą przy brzegu zachodnim Nowey-Zemli, którą zowią wyspą krzyżow. Nazwisko to, wzięła od dwóch krzyżow, które postawili rybacy, przybywający często na połow wielorybow w owe strony.

Zarzucawszy kotwice w tym miejscu kapitan Hcenskerk, wsiadł w szalupę z kilką flisami, chcąc zwiedzić brzeg, na którym stały krzyże. Usiedli dla spoczynku pod jednym krzyżem; a gdy się wpatrują w drugi, postrzegają z nienacka dwa białe niedźwiedzie, leżące pod nim. Niezmiernym strachem zostali wszyscy ogarnieni na ten widok, zwłaszcza iż nie mieli broni przy sobie. Niedźwiedzie powstają na zadnie łapy, przepatrując pilnie tę zdobycz, którą już były pierwej zdala zwietrzyły. Zoczywszy ludzi, rzucają się prosto ku nim. Tu już trudno wyrazić jak straszliwy przepłoch opanował wszystkich, tak dalece, iż flisi zaczęli co żywo do szalupy uciekać. Ale ich kommandant, mający więcej odwagi, a zatym i przytomności umysłu, wstrzymał ułudzających, poprzysięgając, że który tylko pierwszy do ucieczki posunie się, w tym swoym dziryt utopię. „ Skoro się „ rozpierzchniemy, rzekł do nich, za-



„ pewne ktoregokolwiek z nas uchwycą  
„ niedźwiedzie: ale gdy się w kupie  
„ trzymać będziemy, i krzykać jedno-  
„ stawnym hukiem; zrażą się niedźwie-  
„ dzie, i nie będą śmiały na nas nacie-  
„ rać. „ Usłuchali go, i stało się jak za-  
powiedział. W dobrym porządku cofa-  
jąc się wspólnie, doszli szczęśliwie do  
szalupy. Tu nauka: jak to dobrze mieć  
serce odważne, i że bojaźń w większe da-  
leko wprawia niebezpieczeństwo, aniżeli  
śmiałe stawienie się na przeciw zamacho-  
wi nieszczęśliwego losu.

Płynęli daley mimo brzegu, rznąc się  
nieustannie przez nieczmierne nawały lo-  
dow. Za każdym razem kiedy ich kra-  
zewsząd ścisnęła, wiązali okręt do iakiey  
łachy lodu, siedząc w miejscu poty, poki  
by wiatr skołatawszy krę nie otworzył  
nowego przeyscia: wtedy znowu płynęli,  
a potym znowu stali. Żeby sobie wysta-  
wić wielkość lodow tamecznych, dość po-

wiedzieć, że gdy zmierz yli jedną krę, ta trzymała 52 sążnie grubości. Bo w wodzie miała sążni 36, a nad wodą sążni 16. Wszelako nie była to jeszcze kra jedna z naywiększych. Powiadają, iż tak wielkie zdarzają się bryły lodow, że ich grubość, wyniesiona nad wodą, do 100 sążni dochodzi. Sto sążni! proszę zważyć, co to za wysokość! zapewne większa, niżli wieży naywyższej.

Gdy razu jednego okręt zaparty lodami, stał w mieyscu, szyper przechodząc się-wieczorem pod czas mgły po pokładzie okrętu, posłyszał z nienacka obok siebie gwałtowne czmuchanie. A gdy pilnie przepatruie, co by to znaczyło? widzi niedźwiedzia, który wszelkiemi siłami chce się wdrapać na okręt. „Hey! dzieci! sam tu do mnie! „zawołał na flisow. Gdy natychmiast wszyscy 'zbiegli się, i przerażliwym wrzaskiem okrzyknęli niedźwiedzia, tak się przeląkł, iż odskoczył

od okrętu, i skrył się za zator. Nie długo znowu powrócił; lecz gdy dostrzegł iż się maia na baczności, i czterech ludzi stojąc pogotowi ze strzelbą, wypaliło kilka razy do niego, przymuszony do odwrotu, zapał we mgle i śniegach, ani więcej nie ważył się przychodzić.

Dnia 10 Sierpnia skruszyły się lody, i zaczęły pływać sztukami. Ten tylko łód, przy którym zahaczony był okręt na kotwicy, stał nieporuszony, chociaż wielkie bryły lodow waliły się na niego. To dało zrozumieć, że łód przymarzał do dna morskiego.

Od tego momentu lody, to przymarzały, to się odrywały na przemianę od lądu; a biedni żeglarze, wpułzmrozeni, musieli nieustannie pracować, aby się przerzynać przez kry, jak prędko ruszać się zaczęły. W ciągu tej roboty, zostawali w ustawicznym niebezpieczeństwie,

ażebym góry lodow nadpływające, nie pogruchotały okrętu: jakoż trzeba było bardzo ostrożnie i zręcznie postępować sobie w kierowaniu i prostowaniu okrętu, żeby uchronić się tego nieszczęścia. Przy tym niedźwiedzie napastowały ich nieustannie, z ktoremi tyle było do czynienia, co i z lodami. Nie raz do zawziętej przyszło potyczki; ależ przecie wygrana zostawała zawsze przy ludziach.

Przez takie to trudy niezmierne dopłynęli przecież do cypla północnego Nowey-Zemli, i zaczęli go objeżdżać. Kilku maytkom wyprawionym do lądu, gdy weszli na górę śpiczastą, zdało się jakoby morze ku wschodowi było bez lodow. Niewymowna radość napełniła serca tych biednych ludzi! pobiegli do okrętu co prędzey z doniesieniem tak pożądaney nowiny, którą wszyscy przyieli w nayradośniejszych okrzykach. „Hamuycie wasze, dobrzy ludzie! nadzieje

„ludzkie bywają często zawodne: kto  
 „wie! jeżeli te podchlebne wroźby wasze  
 „nie zpełzną na niczym! „Niestety!  
 tak się stało nazajutrz! Bo gdy ku owej  
 stronie zaczęli się podmykać, gdzie wczor-  
 ra zdało im się widzieć czyste morze bez  
 kry; tam przeciwnie znaleźli je zamarźłe  
 tak długimi łachami, iż radzi nie radzi,  
 musieli zawrócić się nazad ku nadbrzeżu  
 Nowey-Zemli. Kusili się wprowadzić po  
 kilkakroć płynąć daley; ale zawsze na-  
 daremnie. Tu dopiero odstąpili zupeł-  
 nie zamiaru swej podróży, to jest wynal-  
 ezienia przeprawy przez morze północne  
 i wschodnie do Chin; a cała myśl ich na-  
 teżyła się, ażeby opuszczając się w dół  
 przy brzegu wschodnim Nowey-Zemli, do-  
 stać się iakim sposobem do lądu Azji.  
 W tym celu zaczęli zkręcać bieg swoy na  
 południe, skoro lody pozwalały im płynąć.  
 Wszakże gdy znaczny przeciąg upłynęli,  
 wielkie bryły lodow osaczyły i ścisnęły  
 okręt zewsząd, tak, iż tylko wyglądali co



moment ztarcia jego na druzgi. Raz podniosła kra przod okrętu; drugi raz tył; znowu go ustawiła w równowadze, ale tak tego i ścisło, iż stał jak wryty.

Dnia 29 Sierpnia, widząc okręt w stanie tak okretym, pokusili się lodowate zatocy rozbijać i kruszyć eskardami żelaznemi; ale czy podobna to dokazać z tak niezmierną grubizną! Dnia 30 ruszyły lody i pływać zaczęły: wiatr mroźny i przeraźliwy z sadzią i śniegiem napędził tak wielką moc kry na okręt, iż niezmierne usadziwszy zatory, gniotła okręt, a ten po wszystkich stronach trzeszczał, i tylko wyglądało rychło skruszy się w kawałki. A że od tej strony, z ktorej wiatr wiał, był bardziey przygnieciony okręt; zazym zaczął się przeważać, i słusznie lękano się, ażeby się nie przewrócił. Ależ przecie, gdy i na drugą stronę wepchały się kry, sprostował się okręt, lecz za to wznosił się tak wysoko

na zatorze, jak gdyby windami był podniesiony i ustawiony. Jeszcze kra zwała się na sztabę czyli przód okrętu, i wzniosła go do pięciu stop wyżej nad rufę czyli tył. Nakoniec natarły kry i na tył, gdzie był rudel, i ten zgruchotały. Wiatr dał potężny: nie słychać było, tylko grzegotanie lin obmarzłych, trzask okrętu gniecionego zewsząd, i huk morskich bałwanów z przeraźliwym łoskotem gór lodowatych, uderzających jedna o drugą, i rozbijających się wzajemnie...

Czytelniku! ty, którego drobna niedogoda w pożyciu, obrusza, jątrzy, i do zapalczywości przywodzi, rzucić okiem na tę scenę. Wystaw sobie tych biednych żeglarzy; którzy zkościli od zimna, i poglądając na pasmo wielorakich nieszczęśliwości, snujące się im przed oczyma; wszelako nie zrażają się bynajmniej, pracują nieprzerwanie, i biorą się na wszelkie sposoby, jakie tylko myśl im

podaje do ocalenia okrętu i zabezpieczenia własnego. Zapłóń się wstydem nad twoją pieskliwością ; a zahartowany męstwem i tęgością umysłu, stawaj przygotowi na wszelkie nieprzyjaznych losow pociski ; ażebyś, gdy cię przeciwność lub niebespieczeństwo zaskoczy, co nieuchronnie i często w życiu ludzkim zdarza się, nie opuszczał rąk, nie tracił serca i głowy, nierozpacział ; ale wszelkich środków do ratunku i wybrnienia z złej toni chwycił się.

Już tedy nasi wędrownicy, przewidując nieochybne zdruzgotanie okrętu, wyciągnęli na łód szalupę i czołn, aby te przynajmniej ocalić. W tak opłakanym stanie zostawali do dnia 2 września ; w którym zwalona kra, wysadziwszy okręt jeszcze wyżej na zatorze, zgmiotła go, iż z straszhwym łoskotem rozpadł się w wielu miejscach. To widząc, zaraz zaniechali myśl daremną o okręcie, a rzucili

się do ładunku: wylichtowali 13 beczek sucharów i dwie baryłki wina na czołn, aby je sprowadzić na ląd. Dnia 3 września, zbił się zator jeszcze ciężey. Wielka belka rufy, przy ktorey osadzony był rudel, oderwała się. Kordel, czyli lina kotwicy największey i drugi kordel nowy, na ktorey okręt był ucumowany do lodu, zerwały się gdyby nitki. Tym czasem zwrab sam okrętu wytrzymał jeszcze tłok lodow, co wszystkim do podziwienia było. Dnia 5, kra zwała okręt na bok, ale to mu nieszkodziło; wszakże nie można było mieć nadziei, aby te wszystkie skołatania długo wytrzymał. I dla tego wzięli się wszyscy do wynoszenia rzeczy naypotrzebniejszych, jako to prochu, kul, strzelby, sucharów, wina i t. d. oraz wielu narzędzi, i starego żagla; co wszystko złożyli na lądzie. Z starego żagla zrobili szałas dla pokrycia rzeczy zniesionych.

Kilku flisow puściwszy się na dwie

mile w głąb kraju, powrocili z wesołą nowiną, iż znaleźli w rzece wodę słodką, i wiele drzewa osiąkłego na jey brzegach. Pod tym imieniem trzeba rozumieć drzewa, ktore morze i wiatry zarwawszy z brzegow lądu wielkiego, zapędzają w dzikie krainy lodowatego morza, gdzie żadne drzewo nie rośnie: co wszystko wskazuje przezorny układ opatrności wszechmocney. Ta nowina uczyniła im otuchę, iż w tak zimnym i pustym kraju potrafią przepędzić zimę długą i okropną; zaczęli przedsięwzięli wystawić budę, ktora by, ile możności ochroniła ich od zimna i napaści dzikich zwierząt. Ale mrozy tęgie, wichry gwałtowne, i obfite śniegi, zatrudniały ich roboty, tak dalece, że przez cztery tygodnie ledwo potrafili budę dokończyć. W tym przeciągu czasu zdarzyły się im przypadki, warte doniesienia.

Dnia 15 flis, trzymający straż na  
okre-



okrećcie, postrzegł nadchodzących trzech niedźwiedzi. Uderzył na trwogę, i wszystka czeladź zakupiła się do obrony. Opodal od okrętu, odbita była fasa z mięsem solonym. Jeden niedźwiedź zwierzywszy mięso, przychodzi do fasy, i gdy już zabiera się je chapnąć, ugodzony kulą z okrętu, polega na mieyscu. Drugi niedźwiedź stawa nad nim iak wryty, przerażony i niejako zadziwiony tym zdarzeniem: wpatruie się pilnie w swego towarzysza, tryksa, przewraca go na ziemi, nareszcie zakręciwszy się odchodzi wolnym krokiem. Trzeci niedźwiedź zaczął się za krę lodu; a nie mogąc strawić tego, co drugich spotkało, wychodzi wspięty na zadnich łapach, jaka postawa iest im zwyczajna, kiedy uderzają na kogo. W tey groźney postawie idzie ku flisom; ale ci dostrzegłszy go wcześniej, przywitani kulą w bok, tak dobrze, iż rad nie rad zaniechał swego przedsięwzięcia; a odchodząc z przera-

zliwym mamrzeniem dał poznać, iż go niezgorzey zalechtała kula po boku. Z zabitego niedźwiedzia wydobywszy wnętrzności, ustawiono go na łapach, chcąc doświadczyć, czyli wiatr i zimno nie zrobią z niego mumii, i czy by się nie udało zawieść go do Hollandyi, ieśliby szczęście posłużyło wydobyć się kiedykolwiek z tey toni.

Mrozy nateżały się codzień bårdziej, tak dalece, iż niemożna było ogrzewać się w zwierzchnim piętrze okrętu, gdzie była kuchnia; musieli więc założyć ognisko w spodzie okrętu, gdzie się ładują towary. Ale coż potym, kiedy cały okręt napelniony był tak grubym dymem, iż przychodziło prawie dusić się. Dnia 23 umarł pierwszy cieśla, i sprawiono mu pogrzeb w jamie zatoru, ponieważ zmrożoney ziemi nie podobna było ukopać. Cała tedy wędrownikow gromada zamykała osob 16, z ktorych zawsze ktoś chorował.

Przy końcu września, zimna tak tęgie nie raz przypadły, iż musieli przerwać robotę około budy; bo ludziom przemarzwały członki, a z pod śniegu nie można było wydobyć drzewa do budowy. Wszakże nie tracąc czasu nadaremnie, wydzierano z okrętu dyłowania z przegrodami, w których sypiali flisi, dla wybijania niemi budy i pokrycia jej dachem. To zabrało dni 15; w przeciągu których wzmożyły się mrozy tak tęgie, iż najsilniejszy flis nie powążył się wyjść o 30 kroków bez niebezpieczeństwa zmarznięcia. Tym czasem okręt zostawał w jednymże stanie rozbicia; widok dzienny skracał się co raz, ciąg nocny pomrok rozwodził się dłużej, a niedola biednych żeglarzy pędziła chyższym połotem do ostatniego kresu nieszczęścia.

## 5.

*Przepędzenie zimy na Nowey-Zemli.*

*Osobliwe zjawienie.*

Dzi

**D**nia 12 października, połowa żeglazow przeniosła się na ląd do budy, która już prawie była dokończona. Wszakże nie mieli jeszcze na czym się położyć, ani mogli niecić ogień, bo nie było komina. Wystaw sobie, miły czytelniku! co ci biedni ludzie pod ten czas cierpieć musieli! a wszelako tak okropną niedolę wytrzymali z równą cierpliwością i statkiem. Jak mogli, tak wymyślali sobie ulgę, przyczyniając co raz więcej wygod w nowo postawioney budzie, i wynosząc z okrętu rozmaite rzeczy, na cokolwiek przydatne.

Miedzy zapasami, na ktorych ocaleniu zależało im bardzo wiele, było kilka beczek piwa. Z tych nie mieli pociechy; bo gdy je przeprowadzali z okrętu do budy, zamarzło piwo, tak dalece, iż obręcze żelazne na beczkach lod porozsadzał. Wnosić proszę, jak tam tegie było zimno. Zachowali jak nayskrzętniej i to piwo

zamrożone, chociaż doświadczyli, że gdy się rozmroziło przy ogniu, nic zgoła nie miało, ani pierwszego smaku, ani tęgości.

Dnia 24 października reszta żeglarzy, w liczbie osob ośmiu, przeniosła się z okrętu do budy. Jednego ciężko zchorzałego zaciągnęli na saniach, bo nie mógł iść o swej mocy. „ Niech cię Bog zasila  
 „ biedny człowiecze! w tej lichy budzie  
 „ nie spodziewaj się znaleźć potrzebnych  
 „ ci wygod. Nie jest to owa izba przy-  
 „ zwoitym ciepłem ogrzana, zamożna we  
 „ wszystko, czego tylko chory zażąda :  
 „ nie jest to ta izba, w jakowych my  
 „ tak niecierpliwie i wybrednie odbywa-  
 „ my przypadłe na nas choroby! „ Z niewymownym także mozołem zaciągnęli pod budę szalupę, jako jedyną nadzieję wydotycia swego z tej toni, ieśliby udało się zimę tak długą i tak straszną wytrzymać. Bo o ocaleniu okrętu ani podo-



bieństwa było myśleć, który straszliwym zatorem ze wszech stron przytłoczony został.

Jeszcze dotąd światło słoneczne przy-  
ciemnymi promieniami swemi, choć na kil-  
ka dni chwilek uweselało biednych, ale i  
ta jedyna nieszczęśliwych pociecha zni-  
knąć miała niezadługo: co dzień, to bar-  
dziej zmniejszał się łęk biegu słoneczne-  
go: już nawet nie wznosił się wyżej nad  
horyzont, iak o jedną piędź; krzatali się  
więc co żywo z przeniesieniem reszty ży-  
wności, żaglow i lin do budy. Ostatnią  
razą kiedy szli do okrętu, postrzegł  
Heemskerk trzech niedźwiedzi, biega-  
cych prosto na flisow: okrzyknął ich  
przeraźliwym głosem dla przestachu.  
Flisi porzuciwszy sielki, któremi sanki  
ciągneli, zaczęli do okrętu uciekać. Ale  
Heemskerk i drugi z nim, oba serca mę-  
żnego, uchwycili z sanek dwa oszczepy, i  
zawrociwszy inną stronę gdzie nie było

niedźwiedzi, szczęśliwie wpadli na okręt. Zażarte niedźwiedzie, widząc iż im zdobycz uszła, rzuciły się prosto do okrętu, chcąc się wdrapać na niego. Na okręcie znajdowało się dosyć strzelby; ale strzelba nie była jeszcze wtedy taka, iaka jest teraz. Ogień nie zajmował prochu w zapale szczękiem skałki o panewkę, ale trzeba było tlejący lont do panewki przytykać. Na nieszczęście! nie było podorędziu ognia do podpału strzelby; dwa oszczepy, składały cały arsenał z bronią całę niedostateczną do odparcia niedźwiedzi. Wyprawiono flisa co tchu do kuchni okrętowej po ogień, a drugiemu kazano szukać spisu. Ale ogień nie dał się wzniecić, a spisy właśnie gdyby się pokryły, trudno było je wynaleść. Tym czasem zażarte niedźwiedzie używały wszelkich sposobów, ażeby wdrapać się na okręt, i pewnie dokazałyby tego; gdyby nie przyszło na myśl flisom rzucać im sztuki drzewa i różne rzeczy, iakie

tylko nawinęły się pod rękę : za każdym rzutem uganiały się niedźwiedzie, tak iak psy, którym co rzucaią do podawania. Na reszcie naywiększy niedźwiedź ugodzony silno oszczepem w sam ryj, wziął się do odwrotu ; dwa niedźwiedzie mniejsze za nim : a tak dopiero flisi wrocili się do swych sani i budy.

W kilka dni ubili białego lisa, którego upiekli. Miał smak podobny do krolika,

Dnia 4 listopada, już cale słońce nie weszło, i to był początek owej długiej nocy, o ktorey przebyciu zaledwo można było czynić sobie nadzieję. Wszakże dobroczynna opatrność, jako do każdej czary gorzkości, którą podaje człowiekowi biednemu, wpuszcza kilka kropel słodczy ; tak i w niniejszey wędrownikow naszych niedoli, na nadgrode utraty słonecznego światła, obmyśliła sposoby jczy-

niące nieiaką poświatę w grubych cieniach nocney pomroki. Od tego bowiem dnia, ktorego słońce z tamecznego horyzontu znikło, ustąpiły precz z onych stron niedźwiedzie, pewno na zimowanie w krajach bardziey wysunionych ku południowi. Powtore, księżyc wszedł na horyzont, nieustannie świecąc bez zachodu, tak jak pierwey słońce. Potrzecie, żywe zorze pułnocne oświecały niebo tak jasno, iż widok był podobny prawie do dnia mglistego. Wszystko to cieszyło iako tako biednych żeglarzow, i nieiakiem sposobem nadgradzało im utratę światła dziennego.

Z tym wszystkim w takim położeniu mieli trudność rozeznąć czas zwyczajny dzienny od czasu zwyczajnego nocy, zwłaszcza kiedy niebo pochmurne zasłoniło księżyc i gwiazdy. Radziiby byli mieć przy sobie zegar ścienny z okrętu; ale mroz tęgi nie dał im się ani na krok z

budy wyruszyć. Na szczęście! zabrali byli z sobą klepsydrę, sypiącą się przez 12 godzin wciąż bez odwrotu. Owoż doglądali pilnie odwracać ją porządnie, ażeby nie zamylić prawdziwey pory czasu. Nad to sporządzili sobie lampę, którą w niedostatku oleju, nalewali przetopionym łożem niedźwiedzim.

Dnia 6 Listopada mroz uderzył tak wielki, iż nie można było rozgrzać się. Naytęższy ogień naniecony w budzie, nie potrafił zachować wiña Hiszpańskiego, ktore mieli z sobą, od zupełnego zamrażnięcia: co, iak wiadomo, bardzo trudno przypadać zwykło, dla wrodzoney tego wiña tęgości i ognia. Zdawało się, iż mroz odjął ogniowi moc grzania; bo chociaż rzecz iaka przymknięta była dosyć blisko do ognia, przecież niemniej została zimna. I tak nasi wędrownicy, trzymając nogi tuż przy ogniu, nie poczuwali ciepła, aż dopiero kiedy im się



spalili pończochy : i tego jeszcze niedostrzegliby, gdyby swąd zgorzelizny poczuć nie dał. Wszyscy niebożęta pokładli się do koła ogniska, w milczeniu pełnym rospaczy, poglądając coraz z żalem i politowaniem jeden na drugiego ; bo trzeba było lekać się, ażeby mrozy natężone bardziey, nie pomroziły wszystkich. Następującego dnia, gdy mroz trzymał równie tego, postanowili iść do okrętu po torf, czyli ziemię tłustą i palną, tak jak drzewo ; bo grzeje bardziey niżli drewno, a nie tak prędko się pali. Uskuteczniłi to, acz z niewymownym mozołem, i w wieczor naniecili ogień z torfu wielki, iż prawdziwie buda nagrzała się dosyć dobrze. Takowe ciepło przyniosło im tyle ukontentowania, iż starali się wszelkiemi sposobami pomnażać je i utrzymywać. Idąc więc spać, zatkali komin ; a przed snem rozprawiali sobie w największey wesołości. Ale ta wesołość zniknęła w krotce, a jaki taki,

poczuł w sobie nagłą odmianę. Zawrót głowy i odurzenie zmysłów ogarnęło wszystkich, tak dalece, iż nie mogli się nawet ani ratować, bo nie mogli ruszyć się na posłaniu. Na szczęście! dwaj flisi znaleźli w sobie tyle siły, iż się wgrabowali, jeden do drzwi, drugi do komina, i na czas jeszcze otworzyli oboje. Ten, który drzwi otworzył, omdlały padł na ziemię twarzą do śniegu. Na dobre mu to wyszło, bo śnieg zimny, powietrze świeże, i trocha octu, którym go skropiono, przywróciły mu zmysły: a powietrze świeże i zimne, wpuszczone do budy, ocaliło wszystkich życie.

Łacno domyślić się przyczyny tego przypadku, iż to było zagorzenie ze swądu, który torf wydaie. Nie inaczej; bardzo wielu przypłaca życiem tę nieostrożność. Życzę moim czytelnikom, zwłaszcza młodym, korzystać z tego przykładu. Trzeba się strzedz wszelkich waporów czyli

parow iakichkolwiek, a osobliwie z węgli, zgęstwionych i zastałych w iednym mieyscu. Powietrze zatęchłe i zagniłe długim niewietrzeniem izby, swąd gliny z pieco~~x~~ now~~a~~ stawionych, świeżo podlepianych, albo nadto przepalonych, także dym czyli para z węgli surowych, wszystko to są trucizny, zrzadzające ciężkie choroby, a nawet i nagłą śmierć.

Od tego mieysca skracam opis wielu dni, w ktorych nasi wędrownicy doznawali iednychże nieszczęśliwości i utrapień: nie będę przytaczać, tylko same szczegulniejsze zdarzenia. W tym rzędzie niechay będzie naypierwey szczupły podział strawy, ktory z pozostałego zapasu żywności oznaczyli w pewney mierze na osobę. Wykopawszy wołkownią, czyli doł na wilki, nachwyтали wiele pięknych białych lisow, ktorych mięso iedli, a futra obracali na czapki i inne ubiory. Cyru-lik okrętowy sporządził wannę z wielkicy

fasy, gdzie im się często kąpać kazał: kąpiel służyła bardzo dobrze chorym, a utrzymywała czerstwość zdrowych. Nie raz budę ich zawaliły tak śniegi, iż z trudnością przebili wolny oddech do świeżego powietrza. Czasem chociaż w napaloney dobrze budzie pomarzęły im obuwia na nogach i zteżały jak rog, iż niepodobna było chodzić. Z tego powodu porobili sobie berlacie z futer, i wdziawszy je na trzy lub cztery pary pończoch, utrzymali i nogach cokolwiek ciepła. Żeby w poście nie zmarznąć, rozgrzewali kamienie, i podawali je sobie koleją.

W takim stanie zakończyli rok 1596, a zaczęli rok 1597. Żywności ubywało coraz znacznie, i musieli przystąpić do nowego zmniejszenia dzienney mia ki, chociaż zimno nateżone zaostrzało tym więcej chęć do jedzenia. Mimo tego wszystkiego nieupadali niebożęta na sercu: nawyknięcie już ich było oswoiło z

biedą; a nadzieja, iż aboś wydobędą się z tey niedoli, skoro zima minie, zażywiała ich nowemi siłami do cierpliwego znoszenia srogiey nędzy.

Dnia 6 stycznia w wieczor przypomniaeli sobie, iż to iest święto trzech krolow. Przez cały dzień napracowali się niezmiernie, torując drogę przez śniegi, szukając drew i rąbiąc je na opał; radzi- by więc byli po takim utrudzeniu nad- zwyczajną wyprawić sobie poczostkę i krotofilę. Kapitan przychylił się ile mo- żności do ich życzenia, i wydał im nad- zwyczajną miarę więcey dwa funty mąki z trochę smalcu na zrobienie farmuszki. Ach! jakież to było ich szczęście!... „ O! wy! ktorym dziesięcią! dwudzie- „ stą! i więcey wytwornemi potrawami „ trzeba stoły zastawiać, ażeby skażony „ zbyt kami smak wasz podrażnić do je- „ dzenia i nasycić! podźcie tu, a przy- „ patrzcie się, walney i wesołey uczcie,



„ wyprawioney z dwóch funtów mąki i  
„ trochy smalcu! ... poznaycie, jak to  
„ mało trzeba człowiekowi, żeby się roz-  
„ ochocił i nasycił! ... a drżycie, obey-  
„ rzawszy się na was, i biorąc miarę, iak  
„ daleko zboczyliście z owej prostey i  
„ świętey drogi, którą dobroczynna za-  
„ kreśliła natura, a która sama iedna  
„ do prawdziwey szczęśliwości prowadzi!  
„ O! zapewne wstrzemięźliwi nasi że-  
„ glarze, szczęśliwsi byli tego wieczora,  
„ niżeli wy pospolicie bywacie pośród  
„ naykosztowniejszych waszych w mięso-  
„ pusty bankietow! ... Przebog! jedna  
„ farmuszka! przygęstsza polewka z mą-  
„ ki, bez jay i masła, krzepi, nasycą, u-  
„ wesela zpracowanych, zagłodniałych, i  
„ w ostatnie nieszczęście pogrążonych  
„ ludzi! o! jak to mało człowiekowi po-  
„ trzeba, ażeby był szczęśliwym! ... Tak  
„ daleko unieśli się swą wesołością iż przy-  
„ stąpili do obierania krola między sobą,  
„ iakowy obchod iest zwyczajny dnia tego.

Padł

Padł los na pierwszego kanoniera ; wykrzyknęli go więc krolew Nowey-Zemli, to jest kraju, który zamyka blisko 400 mil obwodu.

Powoli dostrzeżono, że dzień i noc, które dotąd zdawały się być jakoby w jedno zmieszane, zaczynały się nieiako oddzielać i powoli rozróżniać. Ukazała się też czerwoność na powietrzu, czyli zorza, w nayprzyjemniejszym widoku zwiastująca wschód słońca. Już też i mrozy nie koniecznie tak nateżone były jak przedtym ; bo gdy naniecili wielki ogień w budzie, tedy znaczne sztuki lodu opadały od ścian, i topniały między dwiema posłaniami, czego dotąd nie doświadczono, acz przy ogniu naywiększym. Zaczęli więc codziennie wychodzić na dworz budy ; ćwiczyć się w chodzeniu, w bieganiu, i w ciskaniu kamieni, ażeby członki ztętwiałe od zimna, rozruszać.

Dnia 24 stycznia, kiedy było niebo pogodne i dosyć wyjaśnione, kapitan Heemskerk udał się ku brzegowi morskemu, z dwiema towarzyszami, chcąc obaczyć, co się dzieje z lodami. W tym jeden z nich zoczył część kręgu słonecznego, wybiegłą nad horyzont. Trudno wyrazić! jaką radością takowe zjawienie napełniło biednych! Pobiegli co tchu do budy z doniesieniem towarzyszom o tak pożądaney nowinie. Dziwnie wszyscy ucieszyli się: sam jeden Barenz, iako biegły w sztuce gwiazdarskiej, kręcił głową, i nie dawał wiary temu zjawieniu; ponieważ według iego rachunku, dopiero za 15 dni powinno było słońce ukazać się. Coż się stało? oto znowu we trzy dni, kiedy niebo było wypogodzone, uyrzeli wszyscy z niewymowną radością słońce w całym swoim okręgu i blasku, wybiegłe nad horyzont, i po lodach owej krainy rozsypujące swe promienie. Co za widok przyjemny! serce drgało im od radości! Barenz

znowu zadziwił się, wziął się do rachunków, i wypadło mu z nich, iż słońce nie powinno jeszcze dać się widzieć. Przekonywał swych kolegów o niechybności rachunku; przyznawali z zadumieniem jego gruntowność wywodom; prawidła gwiazdarskie wołała, niemasz słońca, a czy ukazują słońce: czemu tu wierzyć, czy oczem? czy rozumowi? krotko mówiąc, Barenz opisał dokładnie w swym dzienniku takowe zjawienie, myśląc za powrotem do Hollandyi żądać jego wykładu u biegłych w sztuce gwiazdarskiej. Że to nie jest żadne dziwo, ani rzecz odrębna od przyrodzonego biegu, widzieć słońce nad horyzontem, kiedy rzeczywiście pod horyzontem zostaje? kto ciekawy, może doysć następującym doświadczeniem. Wziąć kubek od filiżanki, wpuścić w niego jakiś pieniądz, i stanąć tak, żeby sam prawie środek kubka wewnątrz można było okiem dosięgać, ale nie dno kubka, ani pieniądz leżący na dnie. Tym czasem

E ji

nie ruszywszy się z miejsca, kazać nalać wody do kubka; rzecz osobliwa! oto ukazuje się dno kubka, i pieniądz na dnie, czego pierwey widać nie było. A to jakim sposobem dzieje się? Ci, którzy uczyli się fizyki, znają: dla drugich, powiem po prostu i ogulnie: iż to całe zjawienie pochodzi z przegubu promieni słonecznych. Trzeba wiedzieć, że za każdym razem kiedy promień słoneczny przebiegając przez płyn iaki (fluidum), wpada z płynu rzadszego do gęstszego, na przykład z powietrza do wody; na ten czas przegubia się, czyli przegina w miejscu wpadnienia, a ostatni punkt swój zwraca w inną stronę od pierwiastkowego swego wylotu. To gdy się dzieje, wypadają, iż rzeczy oświecone takim promieniem, ukazują się całe w innym miejscu od tego, gdzie prawdziwie wtedy zostają. Tak na przykład pieniążek daje się widzieć pośród kubka, chociaż on w samej rzeczy leży na dnie kubka. Do te-



go przydać tylko należy, iż powietrze dotykające ziemię, jest gęściejsze od powietrza, wysoko wzniesionego nad ziemią; a zatem promienie słoneczne, wpadając z wyższego powietrza, które jest cienkie, do dolnego, które jest gęste, koniecznie podpadać muszą przegubowi, przegięciu, czyli refrakcyi. I ztąd to, czy słońce wschodzi, czy zachodzi, zawsze my je widzimy w niewłaściwym mu miejscu. **Naprzykład:** kiedy weydzie słońce oczom naszym, nie jest to słońce samo, ale obraz tylko słońca na atmosferze; tak jak obraz pieniążka widać w środku kubka, chociaż pieniądz nie jest w środku kubka lecz na dnie. Podobnież kiedy słońce zachodzi: jeszcze my patrzymy na słońce, to jest na obraz słońca, a samo słońce już pod horyzont zapadło. Owoż ten jest wykład, przez który wędrownicy nasi uyrzeli na Nowey-Zemli wschod słońca, kilkunastą dniami przedzay, niżeli według biegu przyrodzonego, i

obrachunkow Barenza, rzeczywiście weszło.

6.

*Dalsze bawienie w Nowey-Zemli.  
Przygotowania do odjazdu.*

**N**iemasz roży bez kolcow! niemasz pociechy bez smutku! rzeczywistość tey prawdy ztwierdza całe pasmo życia ludzkiego: doświadczyli tego i nasi wędrownicy na Nowey-Zemli. Bo w tym czasie, w którym cieszyli się z powrotu światła słonecznego, w tymże oraz czasie płakali nad stratą jednego z swych towarzyszow; który, zmocowany długą chorobą i nędzą, zmarł. Sprawili mu pogrzeb w śniegach.

Pod tę porę powrociły nazad niedźwiedzie, a natomiast lisy precz odeszły. Niedźwiedź, który pod samą budę napadł

na flisow i poległ, tak był tłusty, iż przetopiwszy z niego sadło, którego zażywali do palenia lampy, znalazło się czystego łożu więcej niż 100 funtów.

Po kilka kroć dosyć znacznie zelżało zimno, ale znowu przypadały tegie mrozy: wśród lutego, uchwyciły straszliwe i prawie nie do wytrzymania zimna. Tak częsty i niespodziewany powrot mrozów, byłby zapewne zraził wszystkich, gdyby ich nieożywiała nadzieja, iż aboś kiedyż tedyż nadejdzie moment wyrwania się z tej biedy. Naywięcej starali się o dostateczny zapas drzewa, lubo z niezmiernemi trudami przychodziło im wyszukanie i sprowadzenie onego do budy. Bo nie tylko musieli daleko chodzić za drzewem, ale nadto z pod niezmierzonych zaspow śniegu je wydobywać, i przez równie przepadziste zasy sprowadzać. Tylko! co jest nad siłę człowieka, mającego serce hartowne, zwłaszcza gdy go bieda i potrzeba przyciska!

Jednego dnia, gdy po wytrzymanych trudach dziennych udali się do spoczynku, przyszedł niedźwiedź do budy, przeraźliwym mamrzeniem dając znać co ma za zamiar. Zerwali się wszyscy, chwycili za strzelbę, palili do niedźwiedzia. Ale żaden muszkiet nie wystrzelił, bo proch zamokł na panewkach. Co za nieszczęście! Tym czasem niedźwiedź zchodzi do budy po schodach wyrobionych ze śniegu, i zaczyna drzwi wysadzać. Heemskerk poskoczył do drzwi, i tak silnie je przypierał, iż niedźwiedź po kilku szturmach nadaremnych, odszedł precz. Lecz iakby sobie coś przypomniał, powrócił niebawnie, wlaźł na dach budy, i tupając po nim, tak przeraźliwie mamrzał, iż wszyscy potruchleli ze strachu. Wspiął się na komin, szamotał nim tak mocno, że tylko wyglądali, rychło komin zapadnie do budy. Na reszcie poszarpawszy w szmaty żagiel, którym buda była pokryta, powtórnie precz odszedł.

Tęgie mrozy trzymały aż do dnia 15 kwietnia. Tego dnia poszli zayrzeć do okrętu, co się z nim dzieje ; ale go w tak lichym, iak zostawili, stanie znaleźli. Zator lodow, na którym wysadzony styrczał, doszedł do niezmierney ogromności i w różne ukształcił się postawy. Tu wzniosły się bardzo wysokie lodowate wieże ; tam długie i z obu stron iakby domami zabudowane wydawały się ulice ; indziej, niby zamki, ogromnemi wałami i basztami stały warowne ; daley zdało się jakoby rozstąpiły się lody, i morze do pierwszej powracało płynności. Widok ten wzniewał w sercu każdego nadzieję i chęć do prędkiego odjazdu. Ale Heemskerk postanowił czekać do końca maja, ażeby mu nie wymówiano, iż zaprzatniony ratowaniem siebie, zawczesnie stracił nadzieję o ocaleniu okrętu.

Nadszedł koniec maja, a okręt w iednakowym stanie zostawał. Zator,

który go otaczał, zdał się być przymar-  
zły do dna morskiego, bo stał w miejscu  
niewzruszony wtedy nawet, kiedy lody  
odleglejsze skołatane falą, pływały wolnie  
po morzu. Już na ten czas kapitan ka-  
zał wydobyć szalupę i czołn z pod śnie-  
gow, ażeby je, ile możliwości, przyporządzić  
do podróży tak odległej i tak niebespie-  
czney, iaką zamysłali przedsięwziąć.  
O! jak przyjemnym dźwiękiem rozkaz  
ten zabrzmiał w uszach żeglarzów, dla  
których naywiększe niebezpieczeństwa  
były niczym w porównaniu z tym jednym,  
aby reszty życia nie spędzać w okropney  
krajnie zimy wiekuiстей. Ale biedni  
utracili bardzo wiele z pierwszych sił  
swoich; a tu trzeba było mocy olbrzymiej  
do wyciągnięcia dwóch statków z pod  
ogromnych zaspow śniegu. Ostatnich sił  
dobywali niebożęta: często bardzo tak  
pomdleli, iż członkami władnąć nie mogli;  
wszakże skoro odezwał się kapitan. „  
„ Jeżeli niechcecie być mieszkańcami



Nowey-Zemli, i żywcem w jey śnie-  
 „ gach zagrzebanemi zostać; trzeba ko-  
 „ niecznie wyporządzić oba statki, boć to  
 „ na nich cała zasada się nadzieja oswo-  
 „ bódzenia naszego z tey niedoli! „ Te  
 słowa, ni grom iaki obiwszy się im o uszy,  
 trzeźwiły i zasiały zenidlonych, tak, iż  
 okazali rzeczy prawie niepodobnych.

Cały may zszedł na naprawie i upo-  
 rządzeniu obu statkow. Bardzo często  
 niedźwiedzie napadały na nich pod czas  
 roboty, i nie raz tylko co niezostali past-  
 wą tych zwierząt drapieżnych. Czasem  
 też ułagodziło się powietrze, i morze za-  
 czyniało być wolnieysze od lodow; ale  
 znowu skoro dmuchnął wiatr pułnocny,  
 wrociły się mrozy naytęższe, i na nowo  
 morze zawałiło się wciąż lodami.

Pierwszych dni czerwca, zaciągnęli  
 po lodzie oba statki ku okrętowi, ażeby  
 je potem, gdy wszystko w gotowości sta-

nie, można było podprowadzić dalej ku brzegowi lodow, i zepchnąć na wodę. Następujących dni zaczęli zwolna rozbie-  
rać budę, i wprzód znosić do okrętu to  
wszystko, co tylko im się przydać mogło  
do przyszłej podróży. Od budy do okrę-  
tu było tak daleko, jak z okrętu do owe-  
go miejsca, gdzie morze było wolne.

W czasie tey roboty zaskoczyła ich  
burza gwałtowna, zmieszana z śniegiem,  
gradem i deszczem. Dawno tak strasz-  
ney nawałnicy nie doznali; zaczym przy-  
muszeni byli porzucić wszystko, a schro-  
nić się do budy. Ale i w budzie przemo-  
kli do nitki. Bo gdy deski ktoremi była  
okryta buda, zabrali na pobitkę statkow,  
natomiast obsłonili budę żaglami, a przez  
te tak obficie woda ciekła, iż zupełnie  
budę zalala. Wytrzymali niebożęta  
cierpliwie tę przykrość; a nazajutrz zno-  
wu przenosili rzeczy z budy do okrętu.

Dnia 11 czerwca, nowym nieszczę-

ściem zagrożeni zostali. Już wszystkie żywności i rzeczy, do podróży nieodbitie potrzebne, zniesione były do okrętu, a oba statki, na których mieli płynąć, stały obok niego. W tym nagle powstała burza tak gwałtowna, iż tylko czekali, rychło lody pokruszą się, a okręt ze wszystkim, co było na nim, przepadnie na dno morskie: gdyby to się stało, jużby nie mieli żadnego sposobu do wydobycia się z tey niedoli. Ależ przecie szczęśliwie burza przeszła.

Zakrzętnęli się co żywo około ostatniey, iaka im pozostała roboty; to iest zaciągnięcia obu statków do wody, i odbicia na morze. Ale na to potrzeba było utorować wprzód drogę od okrętu do morza czystego. Lody, iako się wyżej rzekło, zbiły się w ogromne zatory, nakształt gor i szanów. Wypadało więc te zatory, ile możności rozbić i zrownać; a pewnie nie tak to łatwo było dokazać.

Z tym wszystkim rzucili się z ochotą do siekier i oskardow, ieszcze iednę potyczkę odprawili z niedźwiedziem, który poległ na placu, i przecież dokonali zamierzonego dzieła.

Barenz i kapitan Heemskerck śpisywali aż do tego momentu dziennik swych przypadkow. Przepisali go na drugą rękę, i zamknąwszy w pudełku zostawili na okręcie dla przestrogi tych, którzyby kiedy nieszczęściem zapędzeni byli w te strony. Wytknęli oni tam miejsce, gdzie stała ich buda; wyrazili oraz sposoby, ktoremi przez dziesięć miesięcy utrzymywali się w tej okropney krainie. Znać ztąd, iak ci ludzie poważali prawa ludzkości, kiedy starali się słodzić los tych, ktorychby nieszczęście zapędziło w tę stronę. Tak to utrapienia, ktorych sami doznaiemy, uczą nas politowania, i ludzkości względem drugih; i ta to jest przyczyna między innemi, dla ktorych

opatrność 'zszyła przeciwności na ludzi. Heemskerk złożył także po iedney kopii dziennika swego na każdy statek, ażeby gdyby ieden zaginął, a drugi szczęśliwie dostał się do lądu, wiara była dana zeznaniu pozostałych żeglarzow. Jżby zaś ten dziennik ieszcze bardziej upoważnić, kazał go wszystkim podpisać.

Zaciągnęli statki nad wodę, a potym saniami pozwozili ich ładunek: rzeczy, którym wilgoć zaszkodzić mogła, poobwijali żaglami, napuszczonemi smołą. Cały ich ładunek składał się z sześciu pak sukna cienkiego, z jedney skrzyni płotna, z dwóch pak aksamitu, z dwóch skrzynek srebra, z dwóch fas lin i płotna dla flisow, z 13 beczek sucharów, z jedney beczki syra, z małej beczki sadła, z dwóch beczek tłustości, z sześciu beczek wina, z dwóch beczek octu, i z różnych rupieci flisowskich. Właśnie też w obu statkach na tyle tylko mieysca starczyło.

*Odjazd z Nowey-Zemli. Niewymówne niebezpieczeństa i biedy.*

**D**nia 14 czerwca, roku 1597 o godzinie szostey z rana wsiedli na szalupę i czołn, i puścili się na morze. Chorowało dwóch, to iest Barenz i flis ieden. Po iednym chorym rozłożyli na każdy statek, ażeby tym lepsze można było o nich mieć staranie.

Rozpoczęli tedy z niewymowną radością i odwagą żeglugę, iakiey od stworzenia świata nie było przykładu ; bo puścili się na przebycie więcej niż 350 mil na dwóch lichych statkach, nie pokrytych, a to ieszcze z takiego mieysca, gdzie śrzodek lata równa się śrzodkowi naszey zimy ; nadewszystko zaś przez morza zawalone ogromnemi bryłami lodow, ktore



raz ścinały się z sobą, drugi raz uniesione wiatrami, tłukły się i druzgotały iedne o drugie. Przydać ieszcze należy, iż tę żeglugę podieli w siłach i ciałach wycięczonych zupełnie poprzedniemi trudami. Tonie mysl w zadumieniu, rozważając w całej swojej przestrzeni wielkość tak niebezpiecznego i tak przykrego przedsięwzięcia.

Mieysce, na ktorym przepedzili zimę, był brzeg wschodni Nowey-Zemli, iako się wyzey okazało. Naykrotsza droga ztamtađ do wielkiego lądu byłaby jachać wciąż przytym brzegu, zmierzając zawsze ku południcwi. Ale Heemskerk obrał drogę naydalszą, nie wiadomo dla czego. Może myślił, iż przy brzegach zachodnich Nowey-Zemli będzie morze nie tak zawałone lodami, iak przy wschodnich. Postanowił więc płynąć nayprzed ku pułnocy, potym obiechać cypel pułnocny Nowey-Zemli, czyli iak

go zowią, kap lodowaty, a dotarszy do zachodniego brzegu Nowey - Zemli, dopiero zawrócić się na południe.

Stosownie do takiego układu rozpięto żagle ku północy. Ale zaledwo podpłynęli cokolwiek, tak ich osaczyły lody, iż nie sposob było daley postąpić. Zły początek! zabobonne umysły wzięły by go za niepocieszną wroźbę; ale nasi wędrownicy, rodowici Holendrzy, pamiętali że są mężami niezwalzonego serca i umysłu: odrzuciwszy więc postrachy dla zgrzybiałych guślarek, czynili to, co w takowym razie czynić przystało nieodrodnym potomkom mężnych Batawów. Uchwycili kotwicami do lodu, czekając aż się kry przeradza, a tym czasem topili śnieg przy ogniu na wodę świeżą. A tak zamiast zrażenia się w przedsięwzięciu pierwiastkowemi przeciwnościami, usiłowali z nich korzystać, i to to jest co się zowie działać mężnie i przezornie.

Niebawnie podała się sposobność do dalszey żeglugi, dmuchnął wiatr pomyślny, zatym uderzyli w wiosła z taką usilnością, iż trzeciego dnia dotarli do cypla pułnocnego Nowey-Zemli. Tym czasem w dwóch chorych wzmagąła się coraz bardziey choroba; chociaż Barenz, kiedy się go pytali o stanie zdrowia, odpowiadał iż ma się lepiej, i że tuszy sobie ieszcze tą razą wybiegać się od śmierci. Pytał: czy iuż dopłynęli do cypla lodowatego? a gdy mu powiedziano że iuż; kazał się podnieść, chcąc mu się dobrze przypatrzeć. Jakoż miał na to dosyć czasu; bo statki zaparte lodami, musiały stać w miejscu.

Następującego dnia kiedy się prze-  
mykali między gęstwą lodow, te tak  
gwałtownie bić zaczęły na ich statki, iż  
wszyscy w ostatnim przerażeniu wygląda-  
dali tylko co moment rychło roztrzasną  
się w drobne kawałki. Musiał pęd wody

Fji

morskiey nieść krę bystro w owę stronę, iż niepodobna było ani jey odeprzeć, ani zwrocić od statkow : tak zaś gesto zwałona płynęła, iż nie było sposobu przez nią przerzynać się. Tu już śmiałkowie naywięksi zwątpili! już się osądzili za zgubionych, i jaki taki żegnał się z drugim. Biyszał ci wprawdzie ieden sposob ratunku; ale wszystkie usiłowania, aby go uchwycić, były nadaremne. Oto nie daleko ztamtąd widać było wielką łachę lodu tegoż, na którą dobrawszy się, byliby bezpiecni od srogich szturmow kry; ale iak się do niey dobrać! ani głowa, ani ręce, nie znajduią szrodka żadnego: gotowa rozpacz! pewna zguba! bynaymniej. Tu proszę uważyc, iak częstokroć jeden człowiek przemyślny i odważny staie się zbawieniem całego towarzystwa! Oto jeden flis, nazwiskiem Van Veer, który w tylu już przypadkach dał dowody serca swego i duszy, odważa się na iawne niebezpieczeństwo, aby tylko

drugich ocalił. Uchwyciwszy koniec liny w rękę, rzuca się ze statku, a przeskakując ze kry na kry, dostaje się na lod tęgi. Ztamtąd podholowane liną statki ieden za drugim, dobrały się przecież do łąchy. „Winszuję ci, zacny „Van-Veerze! owey słodkiej roskoszy, „iāką serce twoie uczuło, patrząc na „współtowarzyszow, odważeniem się „twoim na śmierć, wybawionych od „śmierci! „

Naypierwsze staranie było o chorych. Zawinąwszy ich w płachty, wynieśli na lod, i dobrze otulili. Potym trzeba było wyładować statki zupełnie, wyciągnąć je na lod, i na nowo naprawiać; bo w wielu miejscach skołatane były od lodow. Po tey robocie wyszli na ląd, do ktorego lod tęgi, ich zbawiciel był przymarzył; tam szukając jay ptasich dla chorych, nie zdobyli ledwo kilka ptaszkow.

Nazajutrz całe morze szeroko na dal

zasklepiło się lodem. Co za widok okropny i pełen rozpacz! rzekłby kto, że nie na co innego udało im się tu dopłynąć, tylko na większą biedę i nieszczęście. Ci, którym zdrowie iako tako służyło, zazdrościli losu Andrisowi choremu swemu koledze, który już już dogorywał, iż niebawna śmierć postawi go wkrótce u kresu trosk świata tego. Barens, posłyszawszy takie mowy, oświadczył iż iego śmierć także jest bliska: ale że się pilno przypatrywał mappie owego miejsca, odrysowaney od Van-Veera, nie sądzili, żeby tak się źle miał, iak mówił, i do czego innego mowę zwrocili. Barenz złożywszy mappę, kazał sobie dać pić. Ledwo co się napił, skłonił głowę, i z wielkim towarzyszow swoich żalem skonał. Utracili w nim kochanego towarzysza, i żeglarza biegłego, na ktorego wiadomościach zasażyla się po większey części nadzieia pomyślnego skutku w przedsięwziętey podróży. Niebawnie i fiis Andris życią dokonał.



Musieli niebożęta stać w mieyscu przez całe cztery dni pośród śniegow i lodow, bo zator, który wielką część morza do koła zawalił, nie ruszał się z mieysca. Piątego dnia, to iest dnia 22 czerwca, dmuchnął wiatr południowo-wschodni, i cokolwiek morze przeczyścił. Jak naysprędzey na nowo zładowali statki, i zaciągnęli je o 50 krokow do wody. Ale ledwo co je zepchnęli na morze, znowu trzeba było przeciągać je przez drugie lody; aż nakoniec dobrali się do morza czyściejszego, płynęli nieco ciąglej, lubo nie bez ustawicznych zawałów.

Dnia 25 kiedy stali już na kotwicy przy wielkiej łasze lodu, powstała burza gwałtowna. Ta, zgruchotawszy lod, przy którym uchwycone stały statki, rozrzuciła oba od siebie. Uniesieni na głęb morza, w ustawicznym zostawali niebezpieczeństwie; raz, żeby ich nie zatarły lody; drugi raz, żeby fala nie zalała

Ostatnich się każdy dobywał, ażeby się dostać nazad do brzegu. A kiedy nie mogli tego dokazać robiąc wiosłami, tedy osłaniali się napięciem żagiel masztu przedniego, to jest mły żagiel, przywiązany do masztu, stojącego na przedzie okrętu; ale ten maszt pękł na czołnie, i musieli rozpiąć żagiel wielki, żeby zdążyć za szalupą, a nie ostać się w szrocie oceanu, na sztychu wiatrow i fali. Ledwo co napięli żagiel, alisci wiatr tak gwałtownie go rozdarł, iż nieuchronnie byłby statek wywrócił, gdyby byli nie pospieszyli spuścić go co najprędzey. Dziurgała woda ze wszech stron do czołna; a znajdujący się na nim, mieli się już za zgubionych. Na szczęście! niestracili przytomności umysłu, tak potrzebney w momencie rospaczy do ratunku i pewnie nie była to dla nich ostatnia z przeznaczenia godzina. Nadspodziewanie, burza białą od północy, zmieniła się w umiarkowany wiatr północno-zachodni, i tym wiatrem

dogrzebali się do lodow nadbrzeżnych. Ale szalupy nigdzie zoczyć nie mogli. W mniemaniu, że mgła zasłania ją gdziekolwiek przed ich wzrokiem, płynęli ciągiem mimo lodu nadbrzeżnego. Nie widaćcale szalupy! już ją mieli za zgubioną. Wszakże, gdy V n-Veer, kommandant dał kilka razy ognia z moździerza, z wielką radością usłyszeli odpowiednie odstrzelenie z szalupy. Tym sposobem, którego w podobnych przypadkach używali zawsze pomyślnie, oba statki zobopólnie znalazły się.

Pędzili dalej nieszczęśliwą podróż, i następującego dnia płynęli około łachy lodu, na ktorej leżało niezliczone mnóstwo krow morskich. Nigdy im się nie zdarzyło zdybać razem tak wielkiego stada tych zwierząt. Nie zła by to rzecz była wyprawić łowy na nie; ale tak z biednionych żeglarzow nie ruszała żadna pokusa. A znowu, na co by się

przydało zabijać daremnie krowy morskie, kiedy nie mieli sposobności ani zabierać z sobą ich kły, ani użyć do czego. Woleli raczey strzelać do ptastwa przełatującego, ktore potrzebnieysze im były, niżeli zęby krow morskich: jakoż ubili ich iaki tuzin.

Dnia 28 czerwca płynąc mimo wielkiej łachy lodu, i widząc iż gęsta krawa na nich naciera, uchwycili kotwicami przy łasze. Wyładowali wszystko na lod ze statków, same nawet statki wciągnęli na lod, a zrobiwszy szałas z żaglow, położyli się spać zostawiwszy jednego na straży. Przezorna cale była ta ich ostrożność; bo około pułnocy postrzegł stróż trzech niedźwiedzi białych, dążących śpieszno ku sobie. Ciężki mord byłby nieochybnie nastąpił, gdyby stróż dostrzegłszy ich wcześniej, krzykim przeraźliwym nie wzbudził swych towarzyszy. Ubili iednego niedźwiedzia, a

dwóch uszło. Ale nazajutrz powrocili oni, i jeden chwyciwszy zębami zabitego niedźwiedzia zawlokł go bardzo daleko aż na sam brzeg lodu; tam go oba zaczęli zajadać. Dano wraz ognia do nich, i odegnano. Czterech ludzi poszło po niedźwiedzia, i z wielkim zadziwieniem znaleźli prawie przez połowę z żartego. Co zostało od pożarcia, ledwo czterey ludzi zdołali zadźwigać; a jeden niedźwiedź zawlokł snadnie całego niedźwiedzia! Z tey okoliczności można brać miarę, iak wielką siłę mają te niedźwiedzie.

Ponieważ wiatr zachodni dał gwałtownie dnia tego i następujących, tedy przymuszeni byli przez cały ten czas bawić na lodzie. Bardzo wiele napaści doznali od niedźwiedzi, ale czuyność i odwaga ochroniła ich od szwanku.

Z dnia pierwszego na dzień drugi lipca, mieli noc nayokropnieyszą i naynie-

bespiecznieyszą w całej podróży. Z wieczora około godziny dziewiątej, gwałtowny wicher zachodni, tak potężnie zwałił lody na ich łachę, iż jey sztuka, na ktorey właśnie siedzieli, pękła, i pływać zaczęła. Naywiększe było zrazu niebezpieczeństwo, że wszystkie paki i beczki leżały na łodzi, a to jeszcze tam, gdzie się spekał; zatym większa ich część ztoczyła się do wody. Ale nie dość na tym! Statki stały na samej krawędzi kry orderwaney i z połąci obroconey ku morzu, tak dalece, że wszystkie lody były w tę połąć, zatym wygrażały co moment, albo zdruzgotaniem, albo zatopem statkow i ludzi. Trzeba było więc przeciągnąć statki co najprędzey na inną połąć kry pływaiącej, obroconą ku lądowi. Wszakże kiedy oni nad tym pracują, trzaska lod, i rozpada się im pod nogami. Porywa kra czołn i ludzi około niego pracujących; pęka maszt; a cały statek skołatany krą i falą, przesięka wodą. Biedni



ludzie, przeskakiwali ze kry na krę, a  
 przytym czołn w puł rozbity ciągnęli za  
 sobą. Na nieszczęście! znajdował się  
 chorey przy nich, którego poczcivi koledzy  
 niechcieli porzucać, chociaż każdy miał  
 aż nadto do czynienia w ratowaniu życia  
 własnego. W tak jawnym niebespieczeń-  
 stwie zguby, dźwigali chorego na rękę,  
 przenosili ze kry na krę, aż nakoniec  
 szczęśliwie do szalupy dotarli. „ Patrz,  
 „ czytelniku! czego dokazuje pociąg  
 „ ludzkości w sercu nie zaiętym na-  
 „ miętnością!... Przebog! w tym czasie,  
 „ kiedy wielu bogatych i nieczułych ro-  
 „ skoszników, z trętowym i kamiennym  
 „ sercem ledwo pomyśla rzucić iaki zsto-  
 „ łu swego ogryzek zgłodniałemu bliź-  
 „ niemu, albo kilką ztyranemi garami  
 „ obsłonić nagość jego!... w tym samym  
 czasie, oto biedni żeglarze, wycięczeni  
 głodem, zimnem i nędzą, odważają wszy-  
 stko co tylko mają, bo odważają własne  
 życie dla ratunku chorego współbrata,

ktory im był na zawadzie, i ktory procz tego długo żyć nie mógł! Oteż to iest, co się zowie ludzkość! to mi widok, na ktory całe niebo i cała ziemia słodkimi czułości łzami oblać się powinny! Opatrzność wymierzyła wraz nadgrode tak zacnemu czynowi. Nad wszelkie podobieństwo i nadzieię, nie tylko uratowali własne życie i chorego, ale oraz i statki, wyciągawszy je szczęśliwie na lod tegi. Uratowali nawet wiele sprzętow i pak z wody; uspokoiła się burza; a iak to zawsze bywa, po nawałności zajaśniała pogoda.

## 8.

*Dalszy ciąg niebezpieczney żeglugi okolo brzegów Nowey-Zemli. Opisanie Samoiedow. Przylądowanie szczęśliwe do brzegow państwa Moskiewskiego.*

**K**iedy połowa żeglarzów zatrudniała się naprawianiem skołatanych burzą statków, drudzy przeszli z lodu na ląd, po drwa na opał, a szczególnie po pień zdatny na maszt. Szczęśliwie znaleźli i jedno i drugie, gdyż po brzegu leżało wiele drzewa napędzonego falą z kądinąd. Znaleźli nawet drwa rąbane i kliny do łupania; ztąd wniesli, iż w owej stronie muszą znajdować się ludzie. Ach! iaką radością serce ich z tej okoliczności zostało przeięte! iak skwapliwie pobiegli donieść o tym trafie towarzyszom swoim, okazując im kliny! Prawda iż poniekąd można było tłumaczyć że rybacy Moskiewscy wybiegłszy na połow wielorybow, mogli kiedyś przebywać na tym lądzie. Wszakże też sama myśl, iż przecie dociągnęli do miejsca, na którym są ślady pobytu ludzi, ucieszyła ich niewymownie. „  
 „ Tak to jest prawdą, że Bog skojarzył  
 „ ludzi między sobą, lubo niedocieczone-  
 „ mi, wszelako niemniej dla tego świę-

„ temi związkami przyrodzenia! Ztąd  
 „ pochodzi, iż człowiek pragnie towarzy-  
 „ stwa drugiego człowieka, chociaż z  
 „ niego żaden zobopolny nie zawieżywał  
 „ mu się użytek! „

Dnia 5 lipca, chory flis, około ktorego  
 drudzy, iako się rzekło, mieli tyle stara-  
 nia i ludzkości, pomarł.

Dnia 9 puściły lody; za czym co prę-  
 dzey zładowali statki i odbili od brzegu.  
 Znudziłbym moich czytelników, gdybym  
 każdą nową przeciwność, iakiey ci biedni  
 ludzie nieustannie doznawali, wyszcze-  
 gulniał. Dosyć powiedzieć, iż też same  
 coraz wypadaly im sceny, też same bie-  
 dy, też same niebezpieczeństwa, iakie  
 uważaliśmy do tych czas. Raz mocowali  
 się z lodami, usiłującami podruzgotać ich  
 statki: drugi raz przeciągali też statki  
 przez rozległe łachy lodow, dobierając się  
 do morza płynnego; dopiero, ztaczali bi-  
 twy

twy z niedźwiedziami : toż znowu bronili się od napaści krow morskich, które w licznych stadach ścigały ich srogimi kłami. Opuszczam więc to wszystko, a tylko zapraszam moich czytelników na ostatni cypel Nowey-Zemli, wybiegły ku południowi. Zaczynam nasi wędrownicy tam dopłyną, my rozważmy niektóre szczególności pleńienia ludzi prawdziwie osobliwego, którzy zazwyczaj podczas lata z dalszego lądu zachodzą w te strony na polowanie. Ludzie ci, zowią się Samojedy.

Narod Samojedów dosyć liczny, ma swoje siedliska w obszernych nadbrzeżach morza lodowatego, pod panowaniem Rosyiskim, tak w Europie iako też w Azji. Jest to gatunek ludzi, zwanych biegunowemi, a mieszkających w krajach podsuniętych pod biegun północny, iako to: Eskwimanie Amerykańscy ; Grenlandczycy ; Lapończycy z Laponii

Norweskicy, Szwedzcy, Rosyjscy ;  
Samojedy i Oszaki czyli Baszkiry, osiedli  
w Rosyi Azyatyckiej .

Samojedy, tak jak inni mieszkańcy  
krajów biegunowych, są bardzo niskiego  
wzrostu, nie mając więcej nad cztery  
stopy wysokości, a cery brudnożółtej .  
Mają nogi krótkie, głowę ogromną, kształt  
twarzy płaski i szpetny, małe oczy po-  
długowate, wielkie uszy, nos zadarty z  
szerokimi nozdrzami i długimi błona-  
mi, wielkie wargi, zęby drobne i brzyd-  
kie, wypukłe nad miarę brzuchy, a uda i  
ręce bardzo chude . Czarne ich włosy, są  
szorstkie jak szczecina, a wiszą im jak  
włókno aż do ramion . Mężczyźni bar-  
dzo mało, albocale nic nie mają włosów  
na brodzie : ale nie można zapewnić, czy  
to tak jest z przyrodzenia, czy też że  
je sobie wyrывают .

Mężczyźni i kobiety są podobni do



siebie, tak postacią, iako też stroiem, wyjąwszy, iż niektóre kobiety, albo iak inni mniemają, tylko młode dziewczki plectą sobie włosy we dwa lub trzy warkocze, wolnie wiszące. W czasie zimy, noszą obuwia czyli łyże na kształt czołnow, długie tak niemal iak sam człowiek. Do tego obuwia na podeszwy używają skory renetow niewyprawney, odwróconey szerścią na wspak, tak iż idzie pod włos od piety ku palcom. Wynalazek ten czyni, iż im nie tak łatwo ślizgają się nogi w tył, kiedy łażą po gorach lodowatych i śnieżnych; samo zaś obuwie służy do chyższego biegu. Suknie ich zimowe są ze skory renetow, które szyją żyłami tego zwierzęcia, tak iak nicią. Suknie letnie są ze skory Pangina (a) nieoskubaney z pior. Chustki robią z cienkiej

Gji

---

(a) Pangin jest ptak wodny, tak wysoki iak łabędź, ale dwa razy ogromniejszy od łabędzia, wielki worek czyli gruczoł wisi mu u piersi i jest bardzo tłusty i ciężki.

skorki brzozoney, i noszą je zawsze przy sobie.

Oboja płeć nigdy się nie myie, ani kąpie ; to też pełno brudu na nich i śmierdzą brzydko . W ich chatach, zrobionych z kory drzew i ze skor zwierzęcych, pąnuie wielkie nieochędstwo i smrod nieżnośny. Zdechlina wołowa, barania, końska, i innych zwierząt, którą zdybią po drogach, lub ktore im kto daruie, wisi wszędzie po domu, i jedzą ją surowo. Piją także juchę renetow bitych, tak ciepłą, iaka z żył wytryska .

Jest zwyczajem u nich poymować tylko żon, ile się podoba ; wszelako rzadko się trafia, ażeby kto miał pięć żon, a większa część ma ich tylko po dwie . Kupują oni żony u rodziców za renety ; bywa że za jedną płacą po 100 renetow i wiecey . Mogą się rozwodzić z żonami, kiedy zechcą ; wszakże to, co za nie zapłacili, przepada . Bogactwa ich, zawisły

na renetach. Ranifety, rybołostwo latem, polowanie zimą, jest zasadą ich po-  
bytu: ryby także jedzą surowe.

Wierząc oni wprowadzie w jstotę  
naywyższą, i w biesa bardzo wielowładne-  
go: ale ani jednemu, ani drugiemu czci  
nie oddają. Oprocz tego, mają swych  
iakowychści bożków domowych, od których  
czasem zasięgają rady, niewiadomo iakim  
sposobem. Słońce także i księżyc czczą  
iako bostwa niższego rzędu. Mają iako-  
weś wyobrażenie o nieśmiertelności du-  
szy; ale iednak wierzą, iż po śmierci du-  
sza przechodzi z jednego ciała do drugie-  
go. Pospolite krajopisarzów mniemanie  
nienaznacza u nich żadnych obrządków  
religii. Rowność zupełna panuje między  
niemi, i tylko starców szanują więcej nad  
innych, a zatym ani znają pana nad sobą,  
ani prawa, wyiawszy iż rządowi Rosyi-  
skiemu płacą pewną haracz w futrach.

Z tego wszystkiego okazuje się, iż

sposob życia tych ludzi jest naybiedniejszy: a wszelako, ktoby wierzył! mają oni siebie za szczęśliwych, i nie mienialiby losu swego na los innego narodu, zwłaszcza z polerownych ktorego. Przyczyna tego jest ta, iż nie znają innych, ani potrzeb, ani chęci, nad te, którym łącno mogą zadosyć uczynić. „ Tu nauka dla nas, jak „ to dobrze przywyknąć do życia proste- „ go i skromnego, ażeby bez wielkich za- „ chodow znajdować wszędzie nasycenie; „ oraz iak się sposobić w zapas użytecz- „ nych talentow, ażebyśmy w każdym „ czasie dostarczyć sobie potrafili to, bez „ czego obeyść się nie można. „

Już teraz czas zwrócić się do naszych wędrowników Holendrow. Dnia 3 sierpnia, po niezliczonych niebezpieczeństwach i trudach, dopłynęli nakoniec do cypla południowego Nowey-Zemli, wszyscy zwątleni na siłach, wszyscy w pułstrawieni szkorbutem, który im już nieochybną

śmiercią zagrażał. Ale prawdziwie ziściło się na nich powszechnie wzięte przysłowie: iż gdy ostatni dręczy frasunek, w tedy nayspieszniej opatrność zrząda ratunek. Bo gdy wysiedli na ląd, w myśli iakoby po ostatni raz, znaleźli na nim wielką moc rosnącej warzęchy. Roślina ta, zwłaszcza surowa, jest nayskuteczniejszym lekarstwem na szkorbut; to wiedząc, rzucili się do niej, i pełnemi garściami ją iedli. Skutek dzielny i prędki przewyższył ich spodziewanie. Bo u niektórych džiaśła zepsute szkorbutem, tak iż zęby chwiały się, i nie mogli nic przeżuwać, wrociły się do pierwszey czerstwości, iż dobrze gryźli wszystko co tylko chcieli, albo raczey co mieli, bo też iuż zapasy prawie do szczętu wyiedli.

Przyporządzili się do przybycia przemyku Waygatz, ażeby przybić do lądu nie dalekiego. Zrazu przeprawa ta szła dosyć pomyślnie; ale im bardziey zbliżali

się ku ziemi, tym więcej przybywało. lodow, tak dalece, iż nie raz zaparci krą zewsząd, musieli się zwracać nazad na głąb morza. Przecież dnia 4 sierpnia zoczyli brzegi Moskiewskie, a dnia 5 szczęśliwie zawinęli do nich. Wysiadszy na ląd, szukali iakiey pożywności; ale step pusty, gdzie niegdzie tylko zielskiem i dzikimi chrostami porastał. Niektórzy chcieli puścić się pieszo w podróż po lądzie; ale było zadaleko do koli, miasteczka nad morzem białym, gdzie mogli spodziewać się, iż zastaną iaki okręt Hollenderski; a znowu dzikie stepy, przy siłach tak wycięczonych, okazywały niepodobieństwo takiey wędrowki: postanowili więc żeglować morzem na obu statkach.

Już całą żywność, iaką byli mieli, wyiedli, okrom trochy sucharów, które całe po pleśniały. Niektorzy przyciśnieni głodem, wzięli na statek zdechłe ciele



morskie, znalezione na lodzie, i całe już zgniłe. Ale gdy się zabierali do jedzenia iego, wstrzymali ich drudzy, wiedząc dobrze, że iadło takowe przypłaca się życiem. Podiedli ieszczę trochę spleśniałych sucharów, i płynęli dalej.

## 9.

*Zegluga po morzu białym. Opis  
Lapończyków. Szczęśliwy po-  
wrót do Amsterdamu.*

**D**nia 12 sierpnia z niewymowną radością uyrzeli barkę Moskiewską, która pełnemi żaglami dążyła ku nim. Zjachawszy się, Heemskerk wysiadł na nią. Zapytał: jak daleko jest ieszczę do Kandenoës, wyspy leżącey w weyściu do morza białego? Moskale nie zrozumieli, co mówił. Z wyrazu iednak kandenoës domyślali się, że Heemskerk chciał wywiedzieć się, w którą stronę trzeba pły-

nać, ażeby się dostać do tey wyspy? Przywiozszy kompas moskale, ukazali bieg, iakiego miał się trzymać. Heemskerk wzięwszy pieniądze w iedną rękę, wskazał drugą ręką na beczkę ryb, leżącą na barce. Zrozumieli to Moskale; przyieli pieniądze, a dali mu za nie 200 sztuk ryb, i kilka małych kołaczow. O! coż to za przysmak był dla wpułumartych z głodu Hollendrow! podzieleno wszystko na rowne części, i każdemu część iego oddano.

Dnia 13 sierpnia, gwałtowna burza rozrzuciła oba statki daleko od siebie. Skoro fala ustała, gruba mgła odieła im widok zupełnie, iż się nazad z sobą złączyć nie mogli. Heemskerk zostając na czołnie, trzymał się ile możności brzegu; szalupa zaś uniesiona była precz na morze. W bojaźni i żalu nad losem swych towarzyszw, gdy płyną wciąż przez dni cztery, napadają znowu na barkę Mo-

skiewską. Kiedy pod nią podpłyneli flisi barki, z własnego domysłu darowali im bochen chleba, który oni bardzo wdzięcznie przyjęli. Moskale dawali im do zrozumienia, że zdybali na szalupie towarzyszw ich, w liczbie siedmiu. Ale gdy Hollendrzy pojąć tego nie mogli, wskazywali im na migi siedm palców, i statek tak otwarty iak czołn. Tu się zrozumieli, a dociekszy Heemskerck z migow, w ktorey stronie zaszło to zdybanie, zkie rował czołn, a wiosłami i żaglami co żywo za szalupą puścił się.

Dnia 18 dotarli nakoniec do celu swych długich i usilnych chęci, to iest do cypla wyspy kandenoës, leżącey na wstępie do morza białego. Ale niestety! ani widać szalupy! Jeszcze im pozostała iedna bardzo niebezpieczna przeprawa; to iest trzeba było z kandenoës przejechać przez morze białe, pod czas wichru tęgiego i rozhukaney fali morskiey, aże-

by dostać się do brzegu zachodniego Laponii ; co czyniło około 70 mil żeglugi. Ale coż mogło być strasznego dla tych ludzi, którzy tyle trudów i niebezpieczeństw już wytrzymali ! Odważyli się więc wejść na to morze burzliwe w małym czolnie otwartym ; iakoż we 30 godzinach odbyli całą przeprawę.

Uyrzeli natychmiast małe chatki nad brzegiem, i wysiedli do nich na ląd. W tych chatkach mieszkało 13 Moskali, mających przy sobie dwóch Lapończyków, ich żony, i jedno dziecko. Moskale c prowadzili sposób życia całę prosty ; codziennym ich i jedynym pokarmem były ryby ; a biedni Lapończycy mieli jeszcze mniej do jedzenia, bo musieli przestawać na niedojadkach i głowach od ryb ciskanych im przez Moskali, a które oni objadali z wielką pokorą jak psiaki. Obyczay takowy przeniknął wskroś serca Hollendrow. W rzeczy samey ci, kto-

rzy przez tak długi czas zostawali w ostatniej nędzy, czuli politowanie, kiedykolwiek innych równie biednych uyrze-  
li. Wszakże trzeba było tym czasem przestać na takowym uczuciu, gdyż nie było w mocy Hollendrow poprawić los biednych Lapończyków.

Ponieważ ciąg podróży doprowadził nas do kraju, w którym Lapończycy żyją, przewłócząc się z miejsca na miejsce, rozumiem iż przyjemną rzecz moim czytelnikom uczynię, gdy cokolwiek o tym narodzie krótko napomknę.

Lapończycy w wielu względach podobni są do Samojedów, opisanych wyżej, tak co do postaci, jako też co do życia sposobu. Ale zdaie się wszelako, iż cokolwiek zbliżają się ku narodom polerownym. Cera ich brudnopłowa, pochodzi z nieochędostwa i dymu, w którym się wędzą w swych szałasach. . Maią włosy

czarne krotkie, twarz płaską, lice zakłęsłe, podbródek śpiczasty, usta wielkie, oczy małe, i są także wzrostu małego. Co się tycze sposobu ich życia, nie mają oni żadney znajomości o rolnictwie, rzemiosłach, i rękodzielnach, ani chcą wiedzieć o nich; bo jedyną zabawą, przynajmniej większey części Lapończykow, jest bydło rogate, nadewszystko ranifety, które hodują pilnie, i z których opatrują wszelkie swe potrzeby. Te zwierzęta, są wszystkie dla nich, iako się rzekło wyżej.

Chowanie bydła rogatego, niedozwala Lapończykom żyć zawsze na jednym miejscu; ztąd też wiodą oni życie tułające z swemi stadami, przenosząc się latem do krain północnych, a zimą do południowych. Choćby tego czynić niechcieli, to ich same ranifety przymuszają; bo te gdy wyżyrują wszystko w jednym kraju, udają się do drugiego, ani można ich uhamować.



Budy czyli szałas Lapończykow, są w kształcie wygodnym do przechodu z miejsca na miejsce; robią się one z żerdzi, splecionych w okrąg, szeroki u spodu, wąski u góry, nakształt koyca na kury. Pokrywają go z wierzchu grubemi burami Szwedzkimi, albo skorami rani-fetow; a w niedostatku obojga, gałęziami jodłowemi. Wewnątrz powłoczą różnym odzieniem. W środku tey budy zrobione jest piecysko do niecenia ognia; a sam wierzch służy za komin i za okno. Dwadzieścia osob pędzi życie w takim szałasie, nie potrzebując, iak my, osobnych dla każdego apartamentow. Stołki, kanapy, sofy, łózka, biora, buloary Lapończykow, jest barłóg z gałązek sosnowych lub jodłowych, pokryty skorą rani-feta.

Dla przenoszenia rupieci, w czasie przechodu z miejsca na miejsce, używają sani, wyrobionych nakształt czołnow.

Ranifety założone do tych sani, biegną chyżey i dłużey od naszych koni, czy to pod górę, czyli na dół. Dawniej trzęsiono baśń, iakoby nie trzeba było te zwierzęta uzdą lub leycami kierować; ale dosyc było, gdy im ich pan szepnął do ucha, gdzie go miały zawieść. Ale teraz uznano to za bałamutną powieść. Laponczyk, dla śpiesznego chodu, używa takich samych obuwiiow drewnianych, iakie noszą Samojedy. Łyże te, robią się z drąnicy wąskiej, na trzy lub cztery stopy długiey, zakrzywionej i zadartej z przodu, nakształt nosa okrętowego. Obuwszy te łyże na nogi, biorą w każdą rękę laskę, u ktorey spodu jest kołko poprzeczne, żeby w śniegu laska nie grzesła. W takim obuwiu, i z takimi laskami, ślizgaią się bez zapadnienia po wierzchu śniegow naywyższych, i to z taką chyżością, iż potrafiliby niedźwiedzie i wilki w biegu doścignąć. Norwegianie, Finlandczycy, i Samojedy, używaią tego samego przemyślnego sposobu do biegu. Szwec-

Szwedzi i Duńczycy, bardzo wiele pracy podieli około oświecenia Lapończyków w wierze Chrześcijańskiej; wszelako ieszcze znayduie się między niemi wiele zabobonu i bałwochwalstwa.

Miedzy Lapończykami, tak iak wszędzie miedzy gminem zjawiaią się nieustannie oszusty, ktorzy korzystając z prostoty i zabobonności rodaków, uduiają się za czarownikow lub wroźkow, sposobnych przy pomocy, iak mowiają, złych duchow, przepowiać rzeczy przyszłe, i sprowadzać szczęścia lub nieszczęścia na ludzi. Ci oszuści używali w Laponii pewnego bębenka do kuglarstw swoich: ale rząd Szwedzki, pod ktorym większa część Lapończyków zostaje, zakazał używać tego bębenka pod karą śmierci.

Znayduiają się miedzy Lapończykami niektorzy cale maietni. Okrom tysięcy ranifetow, ktore są zasadą prawdzi-

wego ich majątku, miewają oni różne sprzęty w srebrze, jako to: pierścienie, sprzączki, łyżki, kubki i t. d. Używają oni teraz i pieniędzy. Ale życie ich o-  
 błędne, zniewala do zakopywania swych skarbow w ziemi; a gdy śmierć zaskoczy, tedy nawet trudno jest ich dożyć. Ci bogaci Lapończycy, tułają się po mieyscach gorzystych, gdzie znaydują dla stad swoich obfite pastwiska, i dla tego zowią ich Lapończykami goralami. Inni nie tak zamożni w ranifety, żyją po lasach, i karmią się szczegulniey rybami i ptastwem. Chowają także czasem krowy i barany; a ci zowią się Lapończycy lesni: są to strzelcy przewyborni!

Bogaty Lapończyk, woli raczey roz-  
 zwalać się i spać przez cały dzień w swym szałasie, niż naymnieyszą robotą trudnić się. Ubodzy zaś tysiącznemi drobnemi zaprzatają się rzemiosłami. Robią oni sanki nasadzane różnemi wzorkami wy-

rabianemi na rogu lub cynie, robią łyżki, szkatułki, puzderka, koszyki, łuki i rozmaite narzędzia. Tak to majątek czyni człowieka gnuśnym, a ubostwo pracowitym, i zdolnym, bądź w Laponii, bądź gdzie indziej.

Kobiety Lapońskie, naywięcey zatrudniaią się robotą odzieży na cały dom. Nie wdaią się bynajmniej do kuchni, bo to do mężczyzn należy. Ale natomiast wyprawiaią skory, ciągną drot z cyny dla ozdobienia nim pasow, sukien, i szorow do sanek.

Związki małżeńskie kojarzą się między Lapończykami, tak iak u nas między krolami, i panami udzielnemi. Młodzian i dziewczyna, niewiedzą nic, kiedy ich rodzice lub krewni zgodzą się między sobą na ich zameście: nie patrzą tam, czy przypada jedno drugiemu? i czy mogą zopolnie kochać się? ale cały wzgląd obro-

H ji

cony iest na posag oboiey strony. Rodzice wypatrzywszy do swego upodobania dziewczynę, prowadzą z sobą syna, czy on chce czy niechce, do rodziców panny niosąc oraz przytym należyty zapas gorzałki. Przepijają gorzałką. Jeżeli przepicie przyjęto? dobry znak; zaczym wchodzą w targ. Ociec pana młodego oświadcza, i jakie ma podarunki w pieniądza h i ruchomościach, dla oycy i bliskich krewnych panny młodey: na wzajem rodzice panny młodey oświadczaia, jaki posag czeka za corką, i jakie podarunki z jey strony. Jeśli to wszystko ułoży się z obu stron? tedy dochodzi małżeństwo. Jeżeli nie? to krewni panny młodey płacą za gorzałkę wypitą pod czas zmowin. Na wesele, każdy z zaproszonych niesie z sobą sporządzoną potrawę: temi potrawami zastawiaią stoł bez braku, i każdy bierze i je z całego składu, co mu się podoba.

Lapończykowie zaprawiaia wcześniej dzieci swoje do wszelkich niewygód. Nie-



mowlęta wieszają w naczyniu naksztalt kolebki pod szczytem szafasu w dymie. Dwoma sznurami po obu stronach, kołyszą czasem tę kolebkę; w reszcie ludzie ci, wszelkiemi sposobami starać się mają wciągać swe dzieci do prac i trudów, między niemi zwyczajnych. Ale boday czy młodzi nie osobknią się w tej mierze, tak iak u nas; bo inaczey narod ten byłby jednym z naypracowitszych w świecie, co się nie iści. O! bogactwa! jak to wy wszystko psuiecie!

Większa część Lapończykow zostaje pod panowaniem Szwedzkim; część pod Duńskim; część pod Moskiewskim. Ci, do ktorych Hollendrzy nasi zawinęli na brzegu północnym morza białego, byli Lapończycy Moskiewscy. Ale dosyć o Lapończykach, wróćmy się do naszych wędrowników Hollendrow.

Podjadszy poliwki ugotowaney z ryb świeżych i mąki, która im smakowała

wysmienicie, puścili się piechotą w głąb kraju, dla szukania warzęchy ziela. Cały ten kraj był stepem dzikim i pustym; wszelako zoczyli zdala dwóch ludzi na gorze; ztąd wniesli, iż okrom 13 Moskalow, którzy ich uczestowali dnia tego, musi znaydować się więcej mieszkańcow. Przestali na tym dostrzeżeniu, i powrócili nazad do czołna.

Owi dway ludzie z gory udali się w tęż drogę, i niebawnie doszli także do czołna. O! ktoż wyrazi radość, iaka w tym momencie ogarnęła wszystkich, gdy w tych dwóch ludziach, uznali swych zgubionych towarzyszw z szalupy! co za okrzyki! winszowania! i uściski były z obu stron! każdy się łącno domysli, ja tylko dodając, że szalupa niebawiac nadpłynęli z innemi, i że w dniu tym szczęśliwym, w którym złączyli się na nowo, wyprawili sobie uroczystą, nierownie lepszą od naszych bankietow, wymysłnemi

pokarmami i napojami zastawionych, chociaż nie mieli nic więcej do jedzenia, tylko chleb i ryby.

Następującego dnia, zdybali rybaków; ale wiatr niedając im dotrzeć do siebie, niedozwalał nic kupić. Postrzegłszy ich nocowanie się z wiatrem rybacy, rzucili im jedną sztukę stokwiszu bez zapłaty. „Patrzmy! iak w każdym kresie swiata, i we wszystkich stanach ludzi, znayduią się tacy, u których święte są ludzkości prawidła, zachowuią się pilnie bez pociągu nawet korzyści.

Płynęli dalej, i wieczorem napotkali innych rybaków, którzy ich zapytali po moskiewsku: „gdzie iest ich rabbel to iest okręt? „Odpowiedzieli rownie moskiewskimi słowami, których się nauczyli: krabbel propał to iest: iż okręt zgiął. Daley rzekli rybacy: kool brabantskoi krabbel: ztąd wniesli, iż daią

im znać że w koli znajdują się okręty  
brabantskie czy Hollenderskie: ta nowi-  
na ucieszyła ich niewymownie. Nuż za-  
tym z całej siły robić wiosłami, aby iak  
nayspieszniey pojeżdżać. Ale gwałtowny  
szturm trwający dnia następującego,  
przymusił ich wysiąść na ląd. Zdybali  
małą gromadkę Lapończykow w lichym  
szalupie, która im potwierdziła doniesie-  
nie, że w kole są trzy okręty Hollender-  
skie, z których dwa gotowały się wyjść pod  
żagiel. Z troskliwości, ażeby nie opo-  
źnić się z przybyciem, nalieli Lapończyka  
ażeby jednego z nich flisa zaprowadził do  
koli. Na trzeci dzień, gdy sam jeden  
Lapończyk powrócił bez flisa, zmieszali  
się nieco; ale odebrawszy list do Kapita-  
na Heemskerka, opłonęli i owszem ucie-  
szyli się, znalazwszy w nim następującą  
osnowę: iż z wielkim zadumieniem przy-  
mują o życiu jego i towarzyszw: iż da-  
wno już odżałowali ich iako zgubionych:  
iż bardzo im iest przyjemne zdarzenie

przeciwnie: i że co najprędzey wyjeżdżają na przeciw im dla serdecznego powitania. Podpisano: Jan Korneill Ryp.

Z razu po przeczytaniu listu, cieszyli się niezmiernie, ale w krotce wpadła im wątpliwość: co to za Jan Korneill Ryp? oy! czy to nie szyper drugiego okrętu, który z nami wyiachał w podróż z Hollandyi i rozminął się z nami pod Spitzberg? Nie musi to być ten sam! rzekli drudzy, czy podobna żeby on nie zginął dotąd, kiedy my nie zapędziwszy się tak daleko na pułnoc, o włos wybiegaliśmy się od śmierci! Ale imie jest też same. Na szczęście przypomniał sobie Heemskerk, iż miał list u siebie, który dawniey pisał był Korneill do niego. Szukać listu: porównali jeden z drugim: ukazała się ręka też sama. O! co za nowy powód do radości, zacieraiaący wytrzymane dotąd utrapienia! O! jak długie były dla nich godziny w oczekiwaniu na Korneilla i jego towarzyszw!

Nareszcie przyszedł ten pożądaný moment, zoczyli z dala czołn; a gdy bliżej podjechał, poznali w pośrzedz radośnych okrzyków Korneilla i flisa, który był wyprawiony do niego. Przypatrowali się sobie wzajemnie, iako ludziom z innego świata przybyłym, i w uprzejmych rozpatrywali się powitaniach.

Korneill przywiozł z sobą beczkę piwa Rostockiego, wino, gorzałkę, suchary, mięso, słoninę, łososie, cukier, i inne przysmaki, których dawno wędrownicy nasi w gębie nie mieli. Wyprawili sobie bankiet, a posiliwszy się należycie, odbili od brzegu, i drugiego dnia dopłyneli do okrętu Korneilla, który stał na kotwicy o pułmili od koli, na rzece tegoż imienia. Tam znowu nowa radość, nowa biesiada. Obojga okrętów żeglarze, nuż się poznać, nuż witać, nuż przypadki swoje opowiadać.

Radziby byli pewnie moi czytelnicy



wiedzieć przypadki Korneilla i jego towarzyszów : bardzo żałuję że chęci ich dogodzić nie mogę, nie znajdując ich szczególnego opisu.

Nacieszywszy się i nabawiwszy z sobą wzajemnie, puścili się do Koli, i za pozwoleniem wielkorządcy Moskiewskiego, złożyli w giełdzie tameczney oba statki, na potomną pamiątkę, tak wielkiej i tak osobiłwey żeglugi, przez nich podjętey. Bez ochyby statki te długim przeciągiem lat zepsute zostały, wszelako spodziewać się należy, iż dziś jeszcze znalazłyby się iakowe z nich oszczątki.

Dnia 15 Września, wsiedli wszyscy na okręt Korneilla Ryp na powrot do Hollandyi. Odbili natychmiast od brzegu, a dnia 2go listopada roku 1597 przyплыnęli szczęśliwie do Amsterdamu, w tym samym stroju, i w takichże kapuzach z futer białych lisow, iakie no-

---

sili na Nowey-Zemli. Widok ich i powieści przypadkow, sprawiła w całym Amsterdamie zadumienie powszechne.

---

## DRUGA PODROZ

*Do Spitzberg i dziwne tamże przy-  
padki czterech flisow Moskiewskich  
mogąca służyć za dodatek do po-  
przedzającej podróży.*

**P**ewny kupiec z miasta Metzen, leżą-  
cego w państwie Moskiewskim nad mo-  
rzem białym, wyprawił okręt w roku 1743  
pod Spitzberg na połow wielorybow, lub  
psow morskich. Okrętowi temu służył  
wiatr pomyślny tak ciągle, iż w ośm dni  
po odbiciu od brzegu, uyrzał się w blisko-  
ści Spitzbergu. Zamysł był szypira,  
podpłynąć pod tę wyspę, i zarzucić ko-  
twice w stronie jey zachodniey, gdzie też  
okręty innych narodow na ten koniec  
stawać zwykły. Ale nagle zmienił się  
wiatr, i mimo usilności flisow, rzucił o-  
kręt na brzeg wschodni tej wyspy. Nie-  
pocieszny był to traf dla nich, jako wie-

dzących z doświadczenia, że daleko więcej lodow znajduie się z tey strony wyspy, aniżeli z drugiey: iakoż i skutek to potwierdził; bo ledwie co dotarł okręt do brzegu, alć ogromne lodow zatory, tak go zewsząd ścisnęły, iż iakby w murowany stanął. Wiadomo iest z poprzedniey podoży, co to iest bydź tak ściśniony u lodami; zaczym nie będę na nowo wyobrażał tey okoliczności.

Uznali niebawnie, iż okręt znajduie się w stanie bardzo niebezpiecznym, i że żadney niemasz nadziei, a przynajmniey bardzo mała ocalenia onego. Jedyna więc do rozwiązania pozostała okoliczność: co mają czynić ludzie, ażeby życie swoje, ieżeli to bydź może, uratowali?

Ląd, który im stał na widoku, nie był to ieszcze właściwy ląd wielkiey wyspy Spitzbergu; ale ląd małej wyspy leżącej na wschod wielkiej, którą dla tego

nazywają Spitzbergiem wschodnim. Na mapie Moskiewskiej Homanna, da się ona dostrzedź pod Spitzbergiem właściwym.

Kiedy przemysłali nad sposobami ratowania siebie, przyszło na pamięć szyprowi, że przed kilką laty, umowiło się kilka osób z tegoż co i oni miasta Metzen, przepędzić zimę na tej wyspie: że w tym celu przywiezli z sobą podstatek drzewa na wystawienie budy: i że rzeczywiście okazali tego. „ Musi więc, rzekł szyper, dotąd jeszcze stać taż sama buda: „ poszukaymy iey, i do niej się przeprawdźmy. „ To rzekłszy, bierze z sobą trzech flisow, i przeprawia się z niemi do lądu.

Szyper, zwał się: Alexiey Himkoff, a trzy flisi byli: Jwan Himkoff, Stiepan Szaropoff, i Fiedor Werigin. Zadziwia cię podobno czytelniku! moja dokładność,

iz imiona ludzi tak niskiego stanu podaie publiczney wiadomości i pamięci. Bądź cierpliwy: ufam ja, że imiona te, w dalszym ciągu okażą ci się arcy szanowne; i że w prostych flisach uczysz naywiększych ziemi bohaterów. Walczyć z przeciwnościami, iest to niepospolita walka: a ktokolwiek je cierpliwością i dzielnością umysłu przekonać może, ten daleko słuszniesze ma prawo do zwycięskiego wieńca, niżli ow rozległych krajach hołdownik, burzyciel miast, wodz spluskany krwią ludzką. Idźmy daley.

Wychodząc z okrętu, zabrali z sobą następujące rzeczy: jedną strzelbę, jedną ładownicę z dwunastą nabojami prochu i tylaż kul; jedną siekiere, jeden kociołek do gotowania, worek z zosłą funtami mąki, krzesiwo, kawałek łątu, noż, worek z tytuniem, i cztery lulki drewniane. Nie bez przyczyny wyszczegulniam i te drobiazgi, da się wiedzic  
ni-



niżej, że to nie uczyniłem na próżno, aby  
bajać trzy po trzy. Jdźmy daley.

To tedy pobrawszy z sobą, i boday  
ieszcze każdy wzięwszy kiy w rękę, wy-  
siedli z okrętu na lod. Przeciąg z lodu  
aż do lądu, mógł blisko mili ochodzić, i  
to była bardzo niebezpieczna przeprawa  
ponieważ przebierając się przez lod, kto-  
ry ieszcze nie zupełnie mrozem ściał się,  
a który nieustannie kołysały morskie bał-  
wany, wypadało naywięcey przeskakiwać  
ze kry na krę, i to tak ostrożnie, ażeby  
się ani pośliznąć, ani w skoku uchybić, bo  
inaczey pewna zguba. Z tym wszystkim  
odbyli szczęśliwie tę przeprawę, i wyszli  
bez przypadku na ląd; ląd snuły, odlu-  
dny, zawalony śniegiem lodami i pustemi  
skałami.

Uszedłszy cokolwiek, wynaleźli po-  
żadaną budę; stała ona o ćwierć mili od  
brzegu morskiego: a co ich ucieszyło nay-

więcey, to to, iż w skazach swoich potrzebowała bardzo małej naprawy. Długość iey zamykała około sześć sążni, wysokość trzy sążnie, tyleż szerokość. Miała małą sień, a zatym dwoie drzwi, jedne do sieni, drugie do izby; co pomagało wiele do utrzymania ciepła w budzie napałcney. Oprócz tego, zastali ieszcze w niej piec Moskiewski gliniany, czyli ognisko bez komina. Takiego gatunku piece są bardzo pospolite w Moskwie; ponieważ służą włościanowi nie tylko do ogrzania się, ale też do gotowania jeść, i do spania na noc czeladzi. Dla odchodu dymu, wyrębiają dziury w ścianach izby; te się odsuwają i zasuwiają według potrzeby. Dziury te, są oraz oknami, i nie pozwalają dymowi opuszczać się niżej nad wysokość człowieka siedzącego na ławie.

Bardzo się ucieszyli nasi Moskale z znalezienia tey budy: a na obięcie i u-

gruntowanie jey posiadłości ; przepali się w niey iak mogli . Nazajutrz skoro świt, puścili się na powrot do okrętów, chcąc donieść swoim towarzyszom o tak pożądanym wynalazku . Przychodzą nad brzeg . . . a tu kto wyrazi strach i zdętwienie tych biednych ! . . . widzą, ile tylko można sięgnąć okiem . . . widzą morze czystociuchne . . . a nie widzą nigdzie okrętu ! . . . Gwałtowna burza w nocy sprawiła to nieszczęście . . .

Przez długi czas stali iak ośłupieli, w głębokim smutku i przerażeniu, poglądając jeden na drugiego . Otrzeźwili się potym cokolwiek czyniąc sobie nadzieie, iż może gdzie niedaleko fala okręt zaniosła . . . „ aboś ci się zjawi ! . . . aboś nad „ płynie . . . „ tak mówili do siebie, rzucając okiem tam i sam po nieprzejrzaney morza płaszczyźnie . Zawodne myśli ! . . . prożne nadzieie ! . . . Nie zjawił się okręt . . . na żadnym nawet brzegu Moskiew-

skim nie powzięto o nim wiadomości...  
bez łchyby w bezdennych nurtach mor-  
skich pogrążony zginął!...

Skoro się nasi Moskale zapewnili o  
tym nieszczęściu, obeyrzeli się z wzdry-  
gnieniem na stan swoy, pełen rozpaczey. „  
„ Pędzić życie w kraju tak zimnym...  
„ na wyspie pustey... z taką trochę mą-  
„ ki... przy tak drobnych narzędziach,  
„ bądź do obrony od napaści zwierząt  
„ drapieżnych, bądź dla zdobycia poży-  
„ wienia iakiego... w zupełnym prze-  
„ cięciu wszelkiey społeczności z ludźmi  
„ ... i naymniejszey nadziei, aby  
„ można było kiedy wydobyć się z tey to-  
„ ni... te uwagi snuły im się na myśli,  
„ i niewiem co za dzielne serce miałyby  
„ człowiek, ktoregoby nie przeraziły.

Ale ci biedni znali dobrze, iż strach,  
płacz, i dumanie, na nic się nie przyda-  
dzą. Zatym wpředce zebrawszy myśl z

pierwszego odurzenia, zaczęli naradzać się, co im czynić należy, aby ile możności dociągnąć życie do tego kresu, który im zamierzyła opatrność w tym stanie nie-szczęśliwym. Naypierwsza rzecz z porządku do myślenia wypadała, naprawienie budy. Jako Moskale, nawykli sami sobie domy budować, nieuznawali w tey mierze żadney trudności, byle by tylko po doredziu mieli rzeczy ktemu potrzebne, to iest drzewo i mech do utkania szpar. Ale iak tego dostać na wyspie cale dzikiej, gdzie nie doyrzeć ani jednego krzaczka, nie dopieroż rozrosłego drzewa? Wszakże opatrność nie wypuściła ich z swey opieki. Pod śniegiem i między skałami znaleźli mechu podostatkiem nad brzegiem morskim dostrzegli tu i owdzie druzgi rozbitego okrętu; a co ich ucieszyło naywięcey, to wielka moc drzewa naniesionego falą, gdzie były wielkie kłody z gałęziami i korzeniami. O tym drzewie mówiło się w poprzedzającej podroży.

Jeszcze coś wynaleźli, co im także pociechę przyniosło: oto wielkie mnóstwo ranifetow na tey wyspie żyrujących pomichach. Głód zaczął im dać się poczuwać, więc na sam przód obrocili pierwszy naboy ze dwunastu na zabicie ranifeta, z ktorego mieli pożywienie przez dni kilka. Tak zasileni, nuż co żywo krzątać się około budy, i w kilku dniach naprawili ją zupełnie.

Drugim ich staraniem było przysposobienie dostatecznego zapasu drzewa do opału, na straszliwe zimna w tey nowey osadzie. Zimna tę, nie trzebá mi opisywać na nowo; wiadome są z poprzedzającej podróży. I w tym także posłużyło im szczęście: a bijąc coraz ranifety, znaleźli dogodzenie swym naypierwszym potrzebom: i w rzeczy samey, takim ludziom, iákiemi ci byli, ktorych nieskaziła miékkosć życia i roskoszy, łącno było wynaleść dogodę w swych potrzebach. Ale



na długoż to mogło wystarczyć? i proch i ołow wystrzela się niebawnie... niemasz innego oręża... czynże więc bić ranifety... co gorsza, iak się obronić ustawicznym napaściom białych niedźwiedzi, ktorych przechodu trop dosyć blisko swej budy iuż dostrzegli?...

Te uwagi były nayokrutnieyszą męczarnią: tu to trzeba było dobyć całej mocy, serca i umysłu, ażeby w tak ciężkim razie, nie stracić głowy, a z niczego wynaleść istotne sposoby ratunku. Pytam się moich czytelników: co by też każdy z nich podpadszy w podobne nieszczęście wymyślił, bądź na opędzenie głodu, bądź na obronę od niedźwiedzi? we trzech dniach trzeba koniecznie coś postanowić; bo Moskale ostatni iuż wystrzeliwszy naboy, i ostatniego dojadając ranifeta, na dłużej frysztu nie mają.

Przychodzi komuś na myśl: oto mają.

siekierę ; mogą jey użyć na obronę w przypadku napasći od niedźwiedzi . Przy-  
staie na to, ale proszę uważać, iż siekie-  
ra nie może służyć, tylko jednemu, i to  
ten tak zręczny bydz powinien, iż by ko-  
niecznie za pierwszym ciosem ubił nie-  
dźwiedzia . Bo skoro chybi, albo niedo-  
brze ugodzi, tedy niedźwiedź nie pozwoli  
się poprawić ; a zatym zguba nieuchron-  
na spotka wszystkich . A kiedy dwa lub  
trzy niedźwiedzie razem oskoczą ? co w  
tedy począć z iedną siekierą ?

Pozwolmy iednak na rzecz niepodo-  
bną : daymy, że jedną siekierą można się  
dostatecznie obronić napasći niedźwiedzi :  
to już ułatwiony ieden punkt co do obro-  
ny ; podźmy do drugiego . Pytam się :  
z kąd ? i czym pożywienie opatrzyć ? Bie-  
ranifety siekierą . A to iakim sposobem ?  
kiedy one nie napadają na ludzi tak iak  
niedźwiedzie, owszem pierzchają szvdko,  
iż niepodobna człowiekowi ich zgonić !

Rzecz kto: niech porobią dzidy, łuki, i strzały; jedne im posłużą do bitwy z niedźwiedziami, drugie do łowów na ranifety. Tak to łatwiej jest wymówić, niżli zrobić. Na dzidy i strzały, potrzeba mieć gwoździe żelazne; a ci biedni nie mają innego żelastwa, nad jedną siekierę, jeden noż, i jedną stalkę do krzesania ognia: to wszystko jest im nieuchronnie potrzebne do ocalenia życia: jakże tedy takie rzeczy na co innego przerabiać? Ale choćby mieli inne żelastwo; czymże je przekuć, bez kowadła, bez kleszczy, bez młota?

Widoczna rzecz jest, iż w ostatnim niebożęta zostawali ucisku, i przyznam się, że ja sam w tym momencie, kiedy to piszę u mego stolika, nie umiem nic wymyślić. Ale człowiek, jest to stworzenie przedziwne; nie zbywa mu nigdy na obrocie i przemyśle, skoro ostatnia bieda i potrzeba go udręczy. I dla tego my,

siedząc w izbach opatrzonych wygodami wszelkiemi, nie mamy głowy do obmyślenia ratunku dla tych biednych wyspiarzy. Wszakże niech no byśmy sami popadli w tak okropną niedolę ; o! ręczę bardzo wiele nawijało by się środków, które teraz przy naywiększym natężeniu umysłu na myśl nie przychodzą. To pewna, iż opatrność opieką swoją ogarniająca wszystko, w takim razie nie umyka swej ręce ; ale owszem nawija, wskazuje, podżwiga narzędzia do wydobycia biednego z złej toni. Tylkoż człowiek powinien czynić wszystko, co iedno jest w jego mocy. Niech się graboli, niech się rzuca, niechay chwyta co może : opatrność dokona reszty. Obaczmy oczywiste ztwierdzenie tej prawdy w ninieyszym przypadku naszych wyspiarzy.

Przekonani biedni, iż w niedoli nayokropniejszey nie trzeba rąk opuszczać, i w próżney rozpaczey myśl pogrążać, uda-

li się nad brzeg morski, i szukali pilnie, chociaż sami niewiedzieli czego. Pomiedzy druzgami rozbitego niegdyś okrętu wyrzuconemi na ląd, znaleźli lichą deskę, przy ktorey był hak żelazny bardzo wielki i bardzo grubv, oraz wiele gwoździ rownie dużych. U nas by to nic nieznaczyło, mających dostatek wszystkiego, czego tylko potrzeba; ale u tych ludzi był to skarb nieoszacowany, ktorego by nie oddali za wor złota.

Znaleźli ieszcze drugi kleynot, na ktorybyśmy niechcieli ani spojrzeć, nie dopieroż go z ziemi podnosić: kleynot ten, większego był u nich szacunku, niż korony Portugalskiey nieoszacowany dyament; bo oni szacowali tylko rzeczy według ich istoty, i użytku, nie tak iak my według próżności, przywidzenia i przesądu. Chcesz wiedzieć czytelniku! co zaczął był ten kleynot tak drogi? oto korzeń jodłowy, dosyć tęgi i dosyć giętki.

Z temi nieoszacowanemi skarbami pobiegli do budy co żywo. Jeszcze po drodze napadli na kamień dosyć twardy i płaski z wierzchu; zabrali i ten z sobą, mając go obrocić na kowadło. Hak wielki znaleziony od nich, był okrągły, w końcu gruby a u dołu dziurawy; zapewne żeby służył do mocniejszey nasady. Zaczęli ten hak rozgrzewać w ogniu do czerwoności, a tym czasem sporządzali kleszcze z rogów ranifetowych do trzymania. Położywszy hak na kowadle, przepędzali dziurą największy gwoźdź, ażeby ją rozprzeździć. Jeszcze przygrzeli go; cieńszy koniec haka zagiąwszy odrabali siekierą; w rozszerzoną dziurę zasadzili kawał drzewa; i zrobił się młot.

Odcięty od haka koniec krzywy i cienki, poklepawszy i sprostowawszy, zaostrzyli go na kamieniach; przywiązali rzemieniem z skory ranifeta do długiej i grubey gałęzi znalezionej na lądzie; i



zrobiła się dzida. Podobną dzidę ukuli z największego goździa.

Już tedy nie niebraknęło, tylko doświadczyć broni wynalazku nowego: jakoż wraz podała się okoliczność do tego. Wielki biały niedźwiedź, zwietrzywszy wędrowników, przystąpił pod ich budę; skoro go zoczyli, wyszli na przeciw niemu do bitwy: dwaj flisi ugodzili go dzidami w rozdziawioną paszczkę, i szczęśliwie, acz z trudnością, bo z całej siły bronił się, ubili go. Zwycięzcy otarszy pot z czoła, zawlekli zdobycz do budy.

Niedźwiedzie mięso służyło im za pokarm przez czas niejaki, i znaleźli je tak dobre, iak wołowe; czy to dla tego, że miało smak podobny; czy też że głodnym zdawało się tak smaczne. Wielkie futro kudłate, przydało się im do brze na zimno. Jeszcze coś upatrzyli w niedźwiedziu, co im bardzo znaczny w

czasie zapewniało użytek: były to żyły, czyli ścięgi niedźwiedzie. Postrzegli (bo mieli zwyczaj uważać wszystko i doświadczać, co im tylko nawinęło się: zwyczaj bardzo chwalebny, i wart naśladowania, zwłaszcza od młodych) postrzegli mowić, iż te żyły dały się rozbierać na drobniejsze włókna, tak iak sznurek na nitki. To dostrzeżenie, ucieszyło ich niezmiernie, i bardzo wiele wygodziło im na dal.

Rozważając coraz te żyły, wpadło im na myśl, iż mogłyby się przygodzić na narzędzie do bicia ranifetow: nuż co żywo robić około niego. Z korzenia jodłowego, który znaleźli, bez wielkiej pracy wyrobili nożem łuk; a żyły niedźwiedzie bardzo dobrze przypadły na cięciwę do łuku. Nie braknęło, tylko strzał; i te przemyślili szczęśliwie. Z czterech gwoździow wykuli cztery gwoździe do strzał, zaostrzyli je i przywiązali żyłami

do kijeków jodłowych ; te w drugim końcu nasadzili pierkami z kokoszek wodnych i jaskulek morskich: owoż łuk i strzały.

Mówię jeszcze raz: człowiek, jest to stworzenie przedziwne: umie on korzystać ze wszystkiego: potrafi znaleźć się we wszelkich zdarzeniach; wywinąć się z największego razu, aby ieno użył na dobre owego przedziwnego, nieoszacowanego i świętego skarbu, którym jest obdarzony od stwórcy, to jest rozumu. Ludzie! pyszniymy się żeśmy ludźmi; ale oraz czcimy ludzkość w każdym naszym współczłowieku, iako tym, który tak znaczne i drogie dary od dawcy wszech rzeczy zarówno z nami posiada... komu by to przyszło na myśl, iż nikczemny hak żelazny, kilka gwoździ, i korzeń jodłowy, czterem ludziom przez wiele lat posłużą za oręż przeciw napaści zwierząt drapieżnych, dziesięć razy od nich silniejszych?

i że też same narzędzia, przez tyleż czasu, dostarczać im będą po łosiatek żywności! A przecie tak było w rzeczy samej: bo nasi Moskale dzidami swemi kłuli naydrapieżniejsze niedźwiedzie; a czterema strzałami ubili naymnicy 250 ranifetow przez cały czas bawienia swego na tey pustey wyspie, nie rachując wielkiego mnostwa lisow białych i niebieskich.

Już teraz nasi wyspiarze mieli dosyć sposobow na opędzenie naywალniejszych potrzeb. Mogli się bronić niedźwiedzom; mogli bić ranifety i lisy na posiłek i odzienie; wodę czerpali z źrzodeł, tu i owdzie wytryskujących ze skał; a gdy zimno zamroziło zdroje, na ten czas topili śniegi na wodę. Z tym wszystkim niedostawało im wiele rzeczy do iakiegokolwiek osłodzenia swej siedziby w owej smutney i odludney krainie.

Uzbierali podostatkiem drzewa na  
opał,

opał, ale go używali z oszczędnością, bo nie byli pewni, czy zawsze tak obficie drzewa napędzać będzie fala, iak dotąd. Mieli kociołek; ale też to był iedyny statek do czerpania i chowania wody, oraz do topienia śniegu; i nie ważyli się go szarżać codziennym warzeniem. Musieli więc przestawać na mięsie opiekany, i tak ie jeść bez chleba i jarzyny. Ale kiedy kto codzień na śniadanie, na obiad i na wieczerzę, ma takie jedzenie; niepodobna! żeby mu czasem nie zachciało się jakoweysię odmiiany! Ci więc ludzie przemyślni natężyli rozum, aby wynaleść co takiego, coby im służyło zamiast chleba; jakoż ten ich wynalazek nie był płonny. Oto część mięsiwa zawiesili w dymie u pułapu swojej budy; gdy się dobrze uwędziło, wieszali je na dachu ze dworu, dając baczość, żeby ani niedźwiedź, ani lis go niedosiągl. Mroz i wiatr wysuszyły tak mięso, iż mogli jeść je zamiast chleba z innym świeżym mięsiwem.

Sposob ten, przynosił im dwoiaki pożytek; bo nayprzod zapobiegał, iż im się nieprzy-  
iauał ich pokarm codzienny; a powtore  
zbywający zapas mięsa ochraniał od ze-  
psucia.

Ale nowa nawija się potrzeba. Nad-  
chodziła długa noc, która, iak wiadomo  
z poprzedzającej podróży, w owej krainie  
trwa wciąż blisko czterech miesięcy.  
Pytam się: co wtedy począć bez światła?  
skąd dostać świec albo lampy? Rzecz  
kto: niech palą nieustanny ogień; będzie  
razem i ciepło i światło. Dobra rada;  
ale nuż iakowym przypadkiem zagaśnie  
ogień, z kądże będzie go dostać? Strzelba  
nie potrafiła zkrzesać ognia bez hupki  
czyli łątu, a tego ostał im się mały oszczą-  
tek od kawałka, wyniesionego z okrętu.  
Jest sposob, powie kto, krzesania ognia,  
iakiego używają dzicy ludzie, to jest  
przez tarcie dwóch dREWIEŃ jedno o dru-  
gie. Odpowiadam: nuż ten sposob był



im nieznajomy? A choćby go znali; to najprzód trzeba umieć trzeć zręcznie; powtore, trzeba mieć dwa gatunki drzewa, twarde i miękie; to zaś drzewo, które mieli w zapasie, nie było inne tylko jodłowe, i to mokre. Z tych względów, koniecznie była im lampa potrzebna, nawet dla samego uchowania ognia, aby iakim trafem nieszczęśliwym nie zagaś.

Znowu tedy nateżyli myśl, iakim sposobem tey tak ważney i gwałtowney potrzebie dogodzić. Na szczęście! zostali miejsce na wyspie, gdzie była żyła gliny czyli ziemi tłustey. To dostrzeżenie, lubo nawiasem wypadło, dało im pochop do doświadczenia, czy się też uda zrobić lampę z tey gliny? Zrobili; wysuszyli ją przy ogniu; ukreśli knot z starych szmatek; nałeli łożem ranifeta. Pali się lampa: lecz coż się dzieje! oto rozgrzany łoż gdy się rozpałił, zaczął przesiekać i kapać kroplami. Ta nie-

K ji

przewidziana okoliczność ztrwożyła ich mocno i zmieszała szyki w całym układzie ; ale nie zraziła bynajmniej : zaczęli przemyślać, iakby temu przeciekaniu zaradzić. Więc zrobili drugą lampę, którą nayprzod wysuszyli na wolnym powietrzu, toż ją rozpaliwszy w ogniu do czerwoności, wrzucili w krochmal zgotowany z mąki, ktorey przecie nie zjedli ieszcze do reszty. Krochmal gorący, chwyciwszy rozpalone naczynie, przeniknął i zatkał naysubtelniejsze dziurki gliny. Wysuszyli lampę ; a kiedy ją łojem naleli, doświadczyli z niewymowną swoją radością, iż po takiej polewie, nie przesączała ani krte tłustości. Żeby ieszcze tym pewniey na wszelki obwarować się przypadek, jeden z nich wyrznawszy szmatę z koszuli, oblepił ją klaystrem do koła lampy. Na reszcie, aby tak ważne do wygody i potrzeby naczynie trafem iakim nieszczęśliwym niestłukło się, za iedną drogą, zrobili natychmiast kilka lamp ta-

kowych dla zapasu, przyrobiwszy do nich knoty, już z koszul swoich, już z starych lin, które między druzgami rozbitego okrętu nad brzegiem znaleźli.

Do tego miejsca służyli nam za wzor waleczni Moskale, co to może przemyśl z pilną rozważą, kiedy ie zagrzeie chęć żywa dopięcia swego zamiaru. Teraz nauczemy się od nich, iak wielkiej wagi rzecz iest, i iak wiele z szczęściem naszym ma związku, dawać baczność i obracać na korzyść to wszystko, co nam samym lub innym doświadczyć zdarzyło się.

Biednych naszych wyspiarzy zaczął szkorbut nagabać. Wiadomo, iż ta choroba zwyczajna żeglującym, naysrożey dokucza w strefach lodowatych obydwu ziemi biegunow. Zawisła ona na zepsuciu krwi, które na samprzod i szczegulniey wydaie się w dziąsłach ; ale potym

rozchodzi się po całym ciełe i straszliwie chorego trapi i nędzi. Łacno było przewidzieć, że i naszych wyspiarzy niebawnie opanuje szkorbut, tak dalece, że z ciężkością im przyidzie ruszyć się z miejsca, a tym samym wychodzić z budy, strzelać ranifety, bić niedźwiedzie, drwā przysposabiać; zatym pewna spotka ich zguba, a w pośrzod wielkich boleści, w zimnie, w głodzie, w pragnieniu, bez żadnego ratunku, śmierć nayokropnieysza. Straszliwy na samo wspomnienie los? W takim razie na co się przydadzą wszystkie siły rozumu, cały przemysł w wynalazku środków przyzwoitych, nieporuszona cierpliwość, nadzieia w Bogu, niezwalzone męstwo, ieżeli te przymioty i cnoty odrębne będą od istotnych wiadomości i pewnego doświadczenia. Rozum nasz, nie wszystko umie wymyśleć: usilność naywiększa, nie wszystko może dokazać; a pełna dobroci i mądrości opatrznosc niema przyczyny coraz nowe czynić

cuda: dosyć jej łaski, kiedy wszechmocną  
 poda prawicę; dosyć, gdy wezwana z u-  
 fnością, uyrzawszy, iż czyniemy to wszyst-  
 ko, co tylko jest w mocy naszej, nawinie  
 nam pod rękę środki, i tknie dając znać,  
 ażeby się ich chwytąć. Do nas należy  
 czuwać pilnie na ten moment, znać się na  
 rzeczach złożonych w świecie, znać ich  
 własności i skutki, mieć zapas własnych  
 i cudzych doświadczeń, chować je w ży-  
 wey pamięci, a w potrzebie wydobywać, i  
 na korzyść obracać.

Tak właśnie jeden z naszych wyspia-  
 rzy, przywykł był od młodości uważać  
 wszystko, co mu własne i cudze doświad-  
 czenie podało; oraz uskarbiać w pamięci  
 rozmaite wiadomości, chociaż przewidy-  
 wać nie mógł, na co by mu się przydać  
 miały. Był to najmłodszy między nie-  
 mi, Jwan Himkoff, synowiec szypra.  
 Przypomniat on sobie arcy skuteczne le-  
 karstwa na szkorbut. „Musimy bra-

„cia! rzekł do swoich towarzyszw, bar-  
„dzo wiele poruszenia ciała używać,  
„niezważając na zimno i słoty; bo kto  
„tylko puści się w leżuchostwo i śpiącz-  
„kę, tak iak do niey skłonnym się czuie,  
„ten za kilka dni, tak osłabieie, iż choć-  
„by potym chciał, niepòtrafi wstać i ru-  
„szyc się o swojej mocy. Musiemy tak-  
„że szukać pod śniegiem i lodami wa-  
„rzechy (inaczey kochleatia) i jeść ią  
„surowo; bo tak ona zażyta, iest jedy-  
„nym lekarstwem na szkorbut; a procz  
„tego nie mamy jey w czym gotować.  
„Jeszcze, kiedy tylko zabijemy ranifeta,  
„musiemy pić ciepłą krew iego; bo tak  
„czynią dawni nasi sąsiedzi Samojedy,  
„nie z rokoszy, ale z potrzeby, pewni  
„będąc że taka krew ranifeta iest le-  
„karstwem niezawodnym na szkorbut.  
„Na reszcie słyshałem od tychże Samo-  
„jedow, że za lekarstwo przeciw szkor-  
„butowi, mrożą ryby i mięso, i zmrozo-  
„ne jedzą surowo. Po prawdzie rzekł-



„szy, nie mamy ryb, bo nie mamy ich  
 „czym łowić; ale Bogu dzięki! mamy  
 „mięso; więc to wzorem Samojedów za-  
 „mrażamy, i jedzmy surowe. Wyzna-  
 „ię, iż nie nawykłym czynić będą wstręt  
 „takowe lekarstwa; ale tam gdzie idzie  
 „o leczenie choroby, nie trzeba pytać  
 „czy smakuje lekarstwo? lecz czy po-  
 „maga. Za mną bracia! podźmy cho-  
 „dzić, podźmy szukać warzęchy; czyń-  
 „cie to, co ja czynić będę. „

Dwa jego towarzysze, to jest: szy-  
 per i flis drugi, słuchali rady jego, i do-  
 brze im się działało. Ale trzeci, nazwi-  
 skiem Fiedor Werigin, jako znacznie o-  
 tyły, a tym samym ociężały, nie dał się  
 na nic namówić. Kiedy inni brodzili po  
 śniegach, jednemu niechciało się ruszyć z  
 posłania miękkiego, i wyjść na mroz z na-  
 paloney budy; a posoki ranifeta i mięsa  
 surowego niechciał nigdy wziąć do gęby.  
 To też tamci zdrowi byli i czerwieni,

zwłaszcza Jwan Himkoff, który ustawiczną przechadzką, takiey doszedł w biegu chyżości, iż długo potym naydzielnieyszemu koniowi nie dał się wyścignąć: a przeciwnie Fiedor Werigin, gnuśny leżuch i ospalec, tak dalece przeięty został szkorbutem, iż wkrótce nie miał siły do wyjścia z budy; potym stracił ze szczeniem władzę w członkach, iż niemógł podnieść ręki do ust, aż go towarzysze z politowania karmić musieli, ni to niemowle w powiciu. W tak opłakanym stanie zostawał wciąż przez lat sześć, poki śmierć nie uczyniła końca iego boleściom. Owo przykład i nauka, iak to dobrze słuchać zdrowey rady ludzi, mających doświadczenie; oraz iak gnuśność i nałogi zadawnione, szkodliwe są w każdym stanie życia ludzkiego. Człowieka można przyrównać do wody: ta, poki ciągłym tokiem płynie w biegu, poty jest świeża i zdrowa; lecz skoro czas iaki zastoi się w mieyscu spokojnie, natychmiast mieni się i zepsu-

ciu podpada: toż się dzieie z człowiekiem, podaiącym się w próżnowanie i nadmierny spoczynek. Ruchawość, praca, czynność, są jedyne i niezawodne środki do zachowania ciała i duszy w czerstwości i wesołości. Przeciwnie, życie miekkie, gnuśne, i próżniackie, wpędza nas niechybnie w nudy, słabości, choroby i nędzę.

Wyspiarze nasi bardzo wiele już dotąd wytrzymali i przemogli przykrości; ale im ieszcze nie równie więcej do wytrzymania pozostało. Wszystkie prawie koszule wyszarpali na knoty do lampy; reszty trzeba było ochraniać bardzo oszczędnie. Pończochy i trzewiki zdarły się; suknie w tąż, a tu właśnie dopiero zaczynała się zima. Gwałtem trzeba nowej odzieży; a zkadże ją wziąć? Prawdę rzekszy, mieli dostatek skur niedźwiedzich, ranifetow, i lisow; ale te, iako surowe, nie zdały się do noszenia. Jakże je, i czym wyprawić? co począć z wy-

prawnemi, kiedy żaden, ani krawiectwa, ani szewctwa nie umiał? a do tego, nie mieli ani nożyc, ani igieł, ani szydeł, ani nici, ani tratwy; jakże bez tych wszystkich narzędzi szyc suknie, trzewiki, albo boty? wszystko to arcy twarde do załatwienia artykuły, nad każdym z osobna trzeba było dobrze głowy nasuszyć!

Naypierwszą myśl obrocili do wyprawy. Na ten koniec kilka skur namoczyli w wodzie przez wiele dni, aż poki zmiękły zupełnie, i cokolwiek nawet podgniły: potym z nich obciągali i skubali szerść; to dobrze udało się. Obchędzone skury z szerści, tarli w ręku poty, poki nie wyschły: toż nasmarowali je tłustością ranifeta, i znowu wycierali w ręku: przez ten sposób zrobiły się skury miękkie, gładkie, i do czegoś przydatne; przeznaczyli je więc na trzewiki i buty.

Ale tu futra trzeba było na tak

straszliwe, iakie następowały zimna; owoż należało skury tak przyprawić, żeby straciły twardość i surowość, bez nadwężenia włosów. Po długich radach i namysłach, uczynili doświadczenie, które im z wielką pociechą udało się szczęśliwie; to jest najprzód skury przeznaczone na kozuchy, namoczyli w wodzie przez dzień jeden, aby tylko odmiękły; potem tarli je w rękę, aż uschły, nie tykając nic włosów: przez ten sposób za kilka dni wyprawili bardzo wiele skur na futra.

Ale nowa potrzeba. Zkąd dostać igieł i szydeł? zkąd wziąć nici i dratwy? Jeszcze na to poslednie znajdzie się sposób; bo wiedzieli, iż żyły z niedźwiedzi i ranifetow dzielą się na rozmaite włókna, cieńsze i grubsze. Zgoda; są dratwy i nici, ale zkąd igieł dostać? ... Moskale nasi, niespracowani równie, iak i przemysłni, zaczęli kuc jeden gwoźdź tak cienko, iak drut. Nagrzawszy drut ten,

przebili go końcem noża w jednym brzegu, tak iż się zrobiła dziurka iak w iglicy siodlarskiej. Podcięli ten drut w przyzwoitey długości, a trąc go i wecuiąc o kamienie, tak naostrzyli, wyszlifowali i wygładzili, iak naylepiej wyrobione u nas igły. Cała wada igieł ich roboty była: ta, że w główkach miały dziurę ostrą, przerynącą nici; ale temu niepodobna było zaradzić.

Przysposobiwszy narzędzia, założyli warsztaty, szewcki i krawiecki. Tam to było przypatrzeć się, iak jeden szyje boty, drugi spodnie, trzeci suknią nowego wynalazku i kroju. Ten trzyma się dawnego trybu, i nowe suknie szyje na wzor starych; ow stosownie do zimnego kraju, wynayduie nowy kształt odzienia, to iest iż niechce mieć sukni roztworzoney połami z przodu, ale zaszytą okrągło, tak iż by się wdziewała iak koszula przez głowę. Do tey sukni przydaie ka-



ptur z kłapani do podpięcia pod szyją, tak głęboki, że go wzięawszy na głowę, zasłoni się twarz zupełnie, z bardzo małym przetworem dla widoku... Noż służył za nożyce do roboty krawieckiej, a za gnyp do szewckiej. Na ten raz porobili same tylko suknie z kozuchow, bo nadchodziła zima. Ale na lato sporządź li suknie ze skur, całe wyprawnych i obdartych z kudłów, stosując się do łagodniejszej pory. Tak to ci niespracowani i nie zwalczeni ludzie, lubo wszelkiej pozbawieni pomocy, i narzędzi potrzebnych, wszelakę przemysłem, usilnością i pracą, potrafili opatrzyć sobie wszystkie naypilniejsze potrzeby! Już stanich, mogłby się w nieiaki sposób zdawać znośniejszy, gdyby ta myśl: iż jeden z nich, który swoich towarzyszywo przeżyje, pozostanie samotny, opuszczony, i na reszcie w nędzy i tesknocię będzie musiał życia dokonać... gdyby mówię, ta myśl snując im się często w całej swoiey okropności, nie zaprawiała goryczą iakożkolwiek wypogodzonych umysłów.

Biedny szyper, miał ięszcze inny powód do smutku: odjechał on był żony swoiey z troygiem dziątek. Kiedykolwiek po trudach dziennych, zabrał się do spoczynku, myśl iego zabiegłszy w kray Moskiewski, stawiała w gronie tego, co tylko miał w świecie naysmilsze. Z nayszczulszym żalem wpatrywał się on w obraz stroskaney małżonki, iż żadney wiadomości o nim niemiała; w obrazy dzieci, oplakujących z matką osierocenie swoje po oycu. O! wieleż to razy w rzewnych łzach pływały iego powieki! gdy tym czasem towarzysze spokojnym snem uspieni tego chrapali! Ale to go nic niewyłączało od prac i zabaw zwyczajnych; w równym ciągu szedł on zawsze z drugimi; oddalał od siebie wszelkie smutne widoki; i tak rzesko zatrudniał się ręczną robotą, iak gdyby niemiał ani żony, ani dzieci. Nauka: iak to dobrze mieć na wodzy uczucia i namiętności, stosownie do okoliczności i czasu; i iak częstokroć trzeba  
je

je mężnie przytłumiać, kiedy istotne obowiązki wzywają nas do czego innego: tak niarkowane uczucia, są ku wielkiej wygodzie, bo zamiast wprowadzenia w miękkość, podnoszą owszem duszę ku pociągom szlachetnym: w takim razie nie zhańbi mędrca, uронić kilka rzewnych łez, które drogi ludzkości pociąg słodko wyciska! „

Opisawszy sposoby, jakimi wyspiarze nasi opędzali swe najpierwsze potrzeby, czas jest przypatrzeć się szczególnym własnościom tej wyspy, na ktorej mieszkali. To wszystko, co się rzekło o Spitzbergu w poprzedzającej podróży, może się równie i do tej wyspy, iako jej części, przystosować. Długość jej i szerokość, zajmuje około mil 40: tak jest pusta, iak i Spitzberg; same tylko niedźwiedzie białe, ranifety, lisy białe i niebieskie na niej chowają się. Cała wyspa, jest w gorach i skałach spiczastych, nadzwyczajnie wysokich, a śniegiem i lodami

przez rok cały pokrytych. Oprocz ziela warzęchy, gdzie niegdzie rosnącey, i mchow wszędzie obfitych, żadney inney rośliny w całej wyspie nie widac. Między skałami wytryskują wszędzie źródła, które strumieniami tocząc się zapadają w morze. Naydłuższa noc w zimie trwa około czterech miesięcy, i tyleż dzień naydłuższy latem. Po zniknięciu słońca z horyzontu, to jest w czasie ciągłej nocy zimowey, xieżyc przyświeca prawie przez dwa miesiące wciąż, i tak iak słońce latem nie zachodzi. Bardzo jasne zorza pułnocne, są wielkim darem dla tych krain biegunowych w czasie ciągłej nocy. Mrozy, iak wiadomo, panują tam arcy tęgie. Wszelako uważali wyspiarze nasi, iż mrozy przegradza odwilż, prawie od puł listopada, gdzie deszcze ustawiczne padają aż do stycznia, to jest niemal przez siedm niedziel. W czasie tych pluskow nieustannych, powietrze jest dosyć łagodne, prawie tak iak u nas,

kiedy pada deszcz zimą. Bardzo rzadko przypadaia burze w tych stronach. Przez całe sześć lat nasi wyspiarze raz tylko jeden posłyszeli głuchy i daleki łoskot grzmotu. Śniegi do niezmierney wysokości zimą padaia. Można ztąd wnosić, iż buda na trzy sążnie wysoka, pospolicie tak śniegami była zasypana, że nie mogli z niej wyjść inaczej, tylko przez dziurę wydartą w dachu.

Moskale nasi ieszcze jedną osobliwość dostrzegli, to iest iż przez cały czas ich mieszkania na tey wyspie, nie poczuli najmniejszego robactwa przy ciele, lubo niepodobna im było ochędostwa dostrzegać, bądź około siebie, bądź w odzieniu, i chociaż dosyć im się dawało we znaki takowe robactwo, iuż przed tym ich nie-szczęściem, iuż po nim. Wędownicy przepływaiący przez linią, czyli ekwator, doświadczaia teyże samey osobliwości. Ma być rzeczą pewną, że flisi obsypani

robactwem, natychmiast widzą się bydź wolnemi od niego, skoro okręt pod ekwator podpływa ; i przeciwnie, gdy okręt przejdzie nazad w tę stronę ekwatora, natychmiast robactwo, tak iak dawniey, ich obsiada. Nic ja o prawdzie i wywodzie tey osobliwości nie ważę się rozsądzać ; wszakże ieśliby była prawdziwa, tedy należałoby dochodzić, dla czego przeprawa za ekwator, zrządza ten sam skutek, co przejazd za kres biegunowy.

Tak rozumiem, iż moi czytelnicy nie zechcą po mnie wyciągać, ażebym im wystawił ciągły dziennik biednego życia, iakie ci nieboracy iednostaynie na tey wyspie prowadzili: boday by to nie było niepodobnych rzeczy wymagać! Bo czy można, aby ci ludzie, ktorzy żadnego narzędzia do pisania nie mieli, i iedynie ochroną życia własnego zatrudnieni byli, aby mowie ci ludzie każdego dnia spisywali dzieje swoje i przypadki! Dosyć jest



powiedzieć, iż tak okropny życia sposób wytrzymali więcej niż przez sześć lat; bo przez cały ten czas ani ieden okręt nie ukazał się w owej stronie. „Więcej niż sześć lat!... proszę zważyć, co to znaczy!”

Nieszczęśliwy Werigin przez cały ten czas ponosił karę, i to bardzo dotkliwą za swoje leżuchostwo, w które się podał od samego początku. Nie mogąc się ani ruszyć, ani podnieść, ani najsłabszej rzeczy robić, musiał ciągle leżyc w niewymownych boleściach, przyimując pokarm i wszelkie wysługi od pocziwych swoich towarzyszy. Na reszcie dobroczynna i długo pożądana śmierć, zamroczyła go snem wiecznym, i oswobodziła z męczarni. Koledzy z wielkim żalem sprawili mu pogrzeb w śniegu.

Rozumiałby kto, że trzej pozostali wyspiarze, rǳi są iż się pozbyli chore-

go, który, nie można rzec inaczej, tylko że był strasznym dla nich ciężarem. Ale nie jest tak. O! co by oni byli dali za przedłużenie mu życia!... ieszczeby drugie tyle przykrości przez drugie sześć lat wytrzymać chętnie podieli się! Bo chociaż on na nic im się nieprzydał; wszeláko był to człowiek, była to osoba, która drobne ich towarzystwo pomnażała iednym więcey: a kto żyje na pustey wyspie tak iak oni, kto niezmiernym oceanem przegrodzony iest od innych ludzi, oy taki iest bardzo łakomy na ludzkie towarzystwo! Sama obecność człowieka, iest u niego ceny nieskończoney. „  
„ Tak to ociec powszechny umiał iednym „  
„ społeczności ogniwem połączyć wszyst- „  
„ kie swoje dzieci. Przydaymyż iż ta „  
„ okoliczność odnawiała im myśl okropną, „  
„ że tak ieden po drugim wymierać będą, „  
„ aż poki na iednego nieszcześliwy los „  
„ opuszczenia i samotności nie zwali się. „  
„ Kto chce poznać srogość tey myśli, nie-

cháy się tylko w osobie ktorego z tych  
biednych postawi.

Ale czas iest tak dziwną i osobiwą  
historią doprowadzić do kresu. Jednego  
dnia, gdy wyszli nad ląd morski, aby ze-  
brać wyrzucone falą drzewo, i gdy z u-  
tesknieniem poglądali na morze ku owej  
stronie, w ktorej względem nich leżał  
kray moskiewski, dostrzegli z nienacka  
(a tu kto wyrazi ich radość z tego wido-  
ku!) dostrzegli okręt płynący po morzu,  
bardzo daleko od wyspy. Ostąpieli przez  
czas niejaki nad tak niespodzianym zda-  
rzeniem. Ale przyszedłszy ksobie, i  
pomyśliwszy, że jeżeli próżno stać i tylko  
częzą radością nasycać się będą, tedy o-  
kręt odpłynie daley, a może już nigdy  
więcey ich się oczom nieukaze... posko-  
czyli prędko do budy, przynieśli drew,  
rozniecili jak naywiększy ogień na dwóch  
pagorkach, tak, iż dym z płomieniem do-  
sięgał obłokow. Jeden z nich przynioż-

szy skurę ranifeta, przywiązał iak chorągiew do żerdzi, a stanąwszy nad brzegiem morskim wywijał nią, ukazując okrętowi, iż są ludzie wzywający ratunku. Na szczęście zoczo z okrętu ogień i chorągiew ; a zatym szyper dopełniając świętych obowiązkow ludzkości, zawinął do brzegu . Uchwycono kotwicami okręt niedaleko od lądu, a wyprawiono czołn z ludźmi na wzwiady, kto taki iest na wyspie ?

Proszę sobie wystawić radość naszych wyspiarzy, a zadziwienie okrętowych, widząc przed sobą trzy ludzkie postaci, odziane skurą i futrami ! tym większe zadumienie było, gdy posłyszeli ich mówiących po moskiewsku, ponieważ sami byli moskale ! a naybardziej gdy się dowiedzieli, że ci biedni więcey niż sześć lat przepędzili w tym kraju lodow i śniegow, i tak długo wyżyć mogli !

Okręt ten wyprawiony z portu Ar-

chaniola, miał płynąć ku stronie zachodniej Spitzbergu, na połow wielorybow. Mimo woli szypra, ale szczęśliwie dla naszych wyspiarzy, gwałtowny szturm rzucał go w stronę wschodnią wyspy. Tak to częstokroć niepomysłność iednego, staie się szczęściem dla drugih!

Zezwolono chetnie zabrać na okręt trzech naszych Robinsonow z całą ich posiadłością, i do własnego kraju zawieść. Szyper zamowił sobie zapłatę za to 80 rublow; chętnie na nią przystali. „Ha-  
 „ mny czytelniku! w tym momencie są  
 „ twoy. Widzę ja, że się zapalasz gniewem na szypra, i masz go za okrutnika, za potworę o to, iż szlachetny czyn ludzkości każe sobie opłacać tak drogo... Ale postaw się ieno w zimnej krwi, a z uwagą wyrozumiey rzecz całą, ręczę iż zdanie odmienisz.

Trzeba wiedzieć, iż tym ludziom pozwolono zabrać z sobą wszystkie rupiecie.

Prawdę rzekłszy, nie były to rupiecie, ale znaczny majątek. Oto: 2,000 funtów łożu ranifetow ; przeszło 200 skur tychże zwierząt ; dziesięć futer niedźwiedzi, wielkie mnostwo futer lisow białych i niebieskich. Przydaymyż ich ubiory letnie i zimowe ; dzidy, łuki, strzały, lampy, siekierę która się wyrobiła prawie do samey osady, noż także wyrobiony, nici z żył, dratwy, igły w puzderku bardzo kształtnie od nich sporządzonym. . Nakoniec porachujemy życie i utrzymywanie tych ludzi, przez całą żeglugę aż na miejsce. To wszystko zważywszy, nie nazwiemy szypra okrutnym, ale owszem dosyć ludzkim, iż trzy osoby z towarem wartości w Moskwie przeszło 2,000 rublow wynoszącym przewożąc, na tak szczupłej kwocie przestał.

Poznosiwszy na okret wyż wymienione rzeczy, podniesiono kotwice, i z niewymowną radością wyspiarze nasi pożegnali krainę, w ktorej nędzne i pełne ro-



spaczy życie przepędzili blisko przez sześć lat i miesięcy trzy. Po żegludze pięcioletniowej, stanęli szczęśliwie w porcie Archanioła.

Kiedy wysiadali na ląd, zdarzył się przypadek, który o włos nie skończył się bardzo okropnie. Żona szypra Alexieja Himkoffa, która przez długi czas oplakiwała męża swego, iako wiecznie zagubionego, trafem iakowymśis znajdowała się na moście w Archaniole w tedy właśnie, kiedy okręt tuż przy nim zarzucił kotwice. Postrzega męża, poznać, a wykrzyknawszy z radości, skacze z mostu na burzę, chcąc go iak naypredzey uściskać. Ale niedoskoczywszy do burty, wpada w wodę, pogrąża się tak dalece iż mocno namęczyli się flisi, nim ją żywą przedie dostali. „O! coż by to był za okrutny cios dla ciebie biedny Himkoffie! gdybyś po tylu wytrzymanych trudach, przybyszy do domu, w momencie powitania i uciśnienia żony, widział ją utopioną!

„ Uczmy się : jak to nayszyściejsze u-  
„ czuciow zapaly, skoro im się trochę  
„ nadto wodzy popuści, unieść nas mogą  
„ do niebezpiecznych zdarzeń!

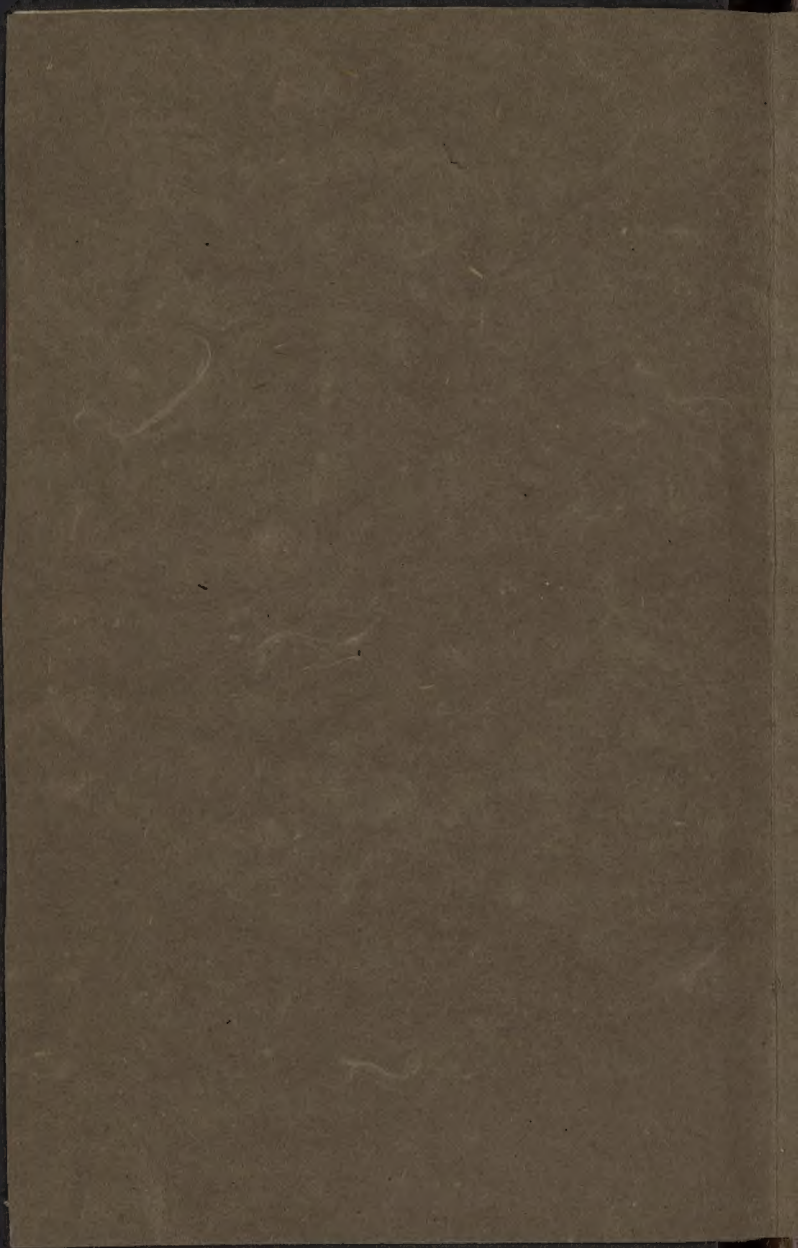
Wielcy i prawdziwi bohaterowie nasi  
wysiedli na ląd w swoim stroju Spitzberg-  
skim. Gromady zdumiałego ludu przy-  
mowały ich z radośnemi okrzykami, a  
znaczniejsze osoby zapraszały do siebie  
jednego po drugim zapytując ciekawie o  
rozmaitych im zdarzonych przypadkach :  
przypatrywano się ich sprzętom, i zupeł-  
nie przekonano się o rzetelności tego  
wszystkiego, co się dotąd wyraziło.

K O N I E C

Tomiku Pierwszego.

l-  
ne  
32

si  
g-  
i-  
a  
e  
o  
n:  
i-  
go



Biblioteka Jagiellońska



stdr0034798



